Rok XIII. Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał I.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1907 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Z podróży wizytacyjnej Ks. Wizytatora w Ameryce.

Zaledwie wróciłem z mojej podróży wizytacyjnej z Ameryki, wielu konfratrów prosiło mnie, abym podróż tę opisał i za pośrednictwem Roczników wrażeniami z niej z Kochanymi Współbraćmi i Siostrami się podzielił. Naleganiom tym oprzeć się było mi trudno, tak były silne i, jak widziałem, pochodziły one z miłości dla dzieł naszych i dyktowała je intencya zbudowania się tem, co widziałem tam dobrego. Tem wszystkiem przekonany i niejako przymuszony, postanowiłem opowiedzieć w Rocznikach z tej podróży mojej to wszystko, co mnie na duchu podnosiło, co myśl wdzięczną kazało mi często zwracać do tego Boga dobrego, co tak nam błogosławi i co tak litościwie przez nas niegodnych działać raczy. Pragnę zaś, aby dzieci św. Wincentego, czytając to, wdzięcznością się przejęły jeszcze większą dla dobroci Boga i tem więcej pokochały swoje piękne i wzniosłe powołanie.

W sobotę 15. września wyjechałem z Krakowa, a na drugi dzień wieczorem stanąłem w Bremie. Poniedziałek upłynął mi tamże na załatwieniu formalności biletowych i pakunkowych, we wtorek zaś 18. września siadłem rano o 7. do pociągu, który nas w 1½ godziny zawiózł do Bremerhaven do okrętu. Drugi to już był pociąg, przepełniony podróżnymi do Ameryki, co mieli jechać tym samym okrętem, a za nami jeszcze biegł długi pociąg trzeci, również przepełniony. Z pociągu wprost pomostem szliśmy na olbrzymokręt „Kronprinz Wilhelm“, którego 4 kominy dymiły już gwałtownie. Muzyka na pokładzie okrętu grała marsza tym masom, co z pociągów tłumnie na okręt szły, jakby zagłu-

szyć chciała myśli, które się podobno każdemu nasuwały, że wstępuje mianowicie na to morze, którego nurty już tysiące ofiar pochłonęły. Mimo tego skocznego marsza każdy wstępował na okręt poważny i zamyślony. Tłumy z pociągów do okrętu szły bez końca; wątpliwość ogarniała, czy okręt tyle tłumów wchłonie w siebie, — a on wchłonął i wygodnie w sobie rozmieścić się pozwolił tym tłumom, co przeszło 2.000 liczyły ludzi. Ale też to olbrzym okręt. W wodzie zanużony przeszło 7 metrów, a nad wodą jakby dwupiętrowa wystawała kamienica, wzdłuż rozciąga się na 220 metrów, pojemność jego wynosi 15.000 ton [1]). Węgla wsypali w tego olbrzyma 70 wagonów, aby się miał czem żywić aż do brzegów Ameryki, przeszło 400 ludzi stanowi jego obsługę. O godzinie $11^1/_2$ w południe, jego maszynerya siłą przeszło 40.000 koni poczęła posuwać zwolna onego olbrzyma przez szerokie łożysko Wezery na pełne morze. — Odbiliśmy szczęśliwie od brzegów Europy.

Podróż na okręcie nie jest tak uciążliwa, jak sobie zwykle wyobrażamy. Pod względem obsługi, pomieszczenia i pokarmu są wielkie udogodnienia. Przepiękne, czyste powietrze morskie wpływa doskonale na zdrowie, niezmierne przestrzenie morskie ciągle przypominają potęgę Boga, co stworzył morza, a wieczorem gwiaździste niebo i przepiękna księżycowa noc porywa myśli ku Bogu. Choroba morska, ten postrach wszystkich, co na morze się wybierają, przykra wprawdzie bardzo, i bardzo wielu dręczy, ale nie jest śmiertelna i nie trwa dłużej nad dni parę, a wcale nie dotyka tych, za których się tylu i tak gorliwie modli, jak się modlono za mnie. Burze morskie, których w mojej podróży przebyłem dwie, mają tę dobrą stronę, że powodują człowieka, aby się raz przecie gorąco i szczerze modlił, nie są zaś zbyt niebezpieczne, kiedy okręt jest na pełnem morzu.

Nasz „Kronprinz Wilhelm“ wypłynął na pełny Ocean Atlantycki dopiero w nocy 19. września. Przedtem wstąpił

---

[1]) Tona = 1000 kgr.

przed południem 19. września do Southampton, portu angielskiego, gdzie podziwiałem piękne brzegi Anglii i śliczną wyspę Wight, pod wieczór zatrzymał się w porcie wojennym francuskim, Cherbourg, gdzie podziwialiśmy wspaniałą twierdzę, a na noc puścił się na pełny Ocean, przez który płynął 6 dni, przebiegając przestrzeń 3100 mil morskich [1]). Dziennie przebiegał przeciętnie 550 mil. Dnia 25. września rychło rano był na okręcie ruch wielki, bo w oddali ukazywały się już szczyty „drapaczy nieba“, t. j. anormalnie wysokich kamienic w New-Yorku. Radość ogarniała wszystkich. Przypatrywałem się emigrantom biednym, co się postroili jak na wielką uroczystość, a ich rozpromienione twarze i uszczęśliwienie, bijące z nich takie, jakby zbliżając się do brzegów Ameryki, już mieli w ręku ten obfity i smaczny chleb, po który tam jechali, wprawiały mnie w zadumę, bo myślałem sobie, że niejeden z nich zamiast obfitego chleba znajdzie tam może nędzę, nie jednego zawrócą może od brzegów Ameryki — a może niejeden, znalazłszy w Ameryce chleb ciała, pójdzie w nędzę moralną. Dobijamy do brzegów; wytężam oczy, czy w tłumach, co czekają na przybycie okrętu, nie dojrzę czasem moich konfratrów i zrobiło mi się bardzo miękko, gdy zobaczyłem, że ks. ks. Głogowski, Waszke i Konieczny tak samo wytężonym wzrokiem z brzegu mnie na okręcie szukają. Przywitaliśmy się rzewnie i bardzośmy się sobie ucieszyli.

Zacząłem się przypatrywać więc Ameryce, a szczególniej Polonii amerykańskiej i pracy naszych konfratrów wśród niej. Polaków w Północnej Ameryce jest do 3-ch milionów. Kiedy tylko ojczyznę naszą okuto w kajdany i zaczęło się tułactwo naszego narodu, zaczęli Polacy napływać do tej ziemi „wolności“. Emigracya ta jednak z początku była sporadyczna, aż dopiero od lat 40., w czasach, kiedy prześladowanie pruskie i moskiewskie, a w Galicyi nędza poczęły Polaków wypędzać z ziemi ojczystej, dali się nasi rodacy

[1]) 1 mila morska = 1854 m.

porwać prądowi ogólnemu i tłumnie wyjeżdżali do Ameryki szukać chleba i jakiej takiej wolności. Osadzali się w początkach w południowych stanach, jak w Texas, ale później prąd cały zwrócił się do stanów północnych w okolice wielkich jezior — gdzie też obecnie najwięcej jest Polaków [1]). Wielu, dobiwszy do brzegów Ameryki, znalazło robotę i chleb dostatni we wschodnich stanach i dlatego także tutaj licznie się osadzili [2]). Chleba dla ciała znaleźli tu rodacy nasi dostatek, bo przeważnie wszyscy mają bardzo ładne zarobki, ale cierpieli głód duchowny. W początkach zwłaszcza bardzo rzadki był między nimi ksiądz polski. Powoli przybywało księży, choć niestety mało dobrych i gorliwych, pobudowali sobie Polacy kościoły, a niektóre wspaniałe — ruch religijny się ciągle wzmagał i doszedł do tego, że statystyka z r. 1906. wykazuje, iż Polacy w Północnej Ameryce w tym roku utworzyli 67 nowych parafii polskich i prawie tyleż szkół; w 37 parafiach stare kościółki zastąpili nowymi, a na to wszystko i na zakłady dobroczynne wydali przeszło 3 miliony dolarów (około 15 milionów koron), a księży przybyło w tym roku Polakom przeszło 100. Organizacya Kościoła pod względem materyalnym tam jest w ten sposób urządzona, że każdy parafianin opłaca podatek parafialny (dziesięciny) przeciętnie $1/2$ dolara miesięcznie, w niedzielę i święta za miejsce w kościele opłaca 0·10 dol. (45 hal.), oprócz tego składki zwyczajne w kościołach i kolekty nadzwyczajne na nadzwyczajne potrzeby. Razem stanowią te datki sumy znaczne, z których opłaca się utrzymanie księdza, sług kościelnych i wszystkie potrzeby kościelne. Opłaty te składają Polacy przeważnie chętnie, gdyż i o pieniądz nie jest u nich tak trudno. Pod względem więc zewnętrznym rozwija się tam Kościół bardzo dobrze. Mniej dobrze pod względem ducha. Jest tam wpraw-

[1]) Według statystyki z r. 1900. liczba Polaków w stanach nad 5 jeziorami wynosiła: w Wisconsin 158.945, w Illinois 339.745, w Michigan 141.830, w Pensylwanii 350.000, w New-Yorku 340.000.

[2]) Ogólna liczba Polaków w stanach wschodnich w r. 1900. wynosiła: 1,260.540.

dzie wielu gorliwych Polaków, co uczęszczają chętnie do kościołów i do sakramentów św.; z pociechą wielką widziałem wszędzie, jak Polacy do kościołów się garną; ale tam, gdzie łany pszenicy, rzucać musi nieprzyjaciel swój kąkol, a rzuca go tym swobodniej tam, gdzie stróże śpią, albo czem innem zajęci. Wir fabryczny w Ameryce, gonienie za dolarem, które aż do zawrotu głowy prowadzi, złe przykłady obcych, dosyć wielu Polaków od kościoła odciągają. Niezrozumienie słusznych żądań ludu polskiego, aby mieli zawsze pasterzy swoich, coby przemawiali do nich z gorącego polskiego serca językiem polskim, trudności stawiane Polakom, aby między obcymi łączyli się w osobne polskie parafie, sprawiają, że często się dadzą uwodzić warchołom niesumiennym, którzy im mówią, że jak ich nie chcą wyrozumieć obcy biskupi i księża, niechaj sobie sami postanowią biskupów i pasterzy własnych — przecież oni ich i tak sami opłacają, więc za swoje pieniądze niech mają swoich. Ksiądz polski, co im ku temu posłuży, znajdzie się, pociągnie go pycha i pieniądz. Stąd nieszczęśliwy „Kościół niezależny“ w Ameryce, t. j. schizma Polaków, co założyli sobie parafie bez łączności z biskupem katolickim, a w zależności od biskupa samozwańczego. Jest niestety tych parafii tam kilka. Stąd ból dla nas katolików i wstyd dla nas Polaków. Radzić trzeba na to, powtarzano, a między innemi radzić i przez misye. Ale polskich misyonarzy tam nie było. Stąd głosy zwrócone tu ku nam i głosy między nami, że sprawa Kościoła i sprawa narodowa nas tam woła. Długo się wahano, czy rozciągnąć działalność prowincyi polskiej aż za morza, ale zwyciężyło przekonanie, że to myśl Boża, że św. Wincenty nie byłby głuchy na podobne głosy — i pojechało 3 Misyonarzy, t. j. ks. Głogowski, ks. Waszke i ks. Trawniczek za Ocean 19. listopada r. 1903. Zaraz po przybyciu odprawili z wielkim skutkiem misyę w jednej z parafii polskich w Brooklyn przy Nowym Yorku u ks. Nawrockiego. Zaledwie odprawili tę misyę, wołał ich Najprz. ks. biskup Tirney z Hartford w stanie Connecticut, aby osiedli w jego

dyecezyi i tam rozwinęli pracę misyjną. Jako punkt oparcia ofiarował im parafię polską w New-Haven, mieście liczącem około 120.000 mieszkańców, oddalonem w kierunku północno-wschodnim o 140 km. od New-Yorku. Pojechali tamże, gdzie ich sam ks. Biskup przyjął na dworcu, zjechawszy umyślnie w tym celu z Hartford, i objęli od 1. stycznia 1904. r. tę parafię. Była to wtedy parafijka mała, bo liczyła tylko około 860 dusz, kościółek to lokal, który służył przedtem za sklep korzenny, dom był stary i jak na trzech księży za ciasny. Na domiar złego ludzie byli zrewoltowani, co się tam często zdarza. To też początki konfratorów były wcale nie różowe, i „żeby nie wiara w pomoc Bożą, jak mi pisał ks. Głogowski, bylibyśmy może i upadli na duchu". ks. Biskup oddał im tę parafię wraz z obowiązkiem obsługiwania dwóch misyi: w Derby, odległem od New-Haven przeszło 10 mil angielskich [1]), i Perryville, odległem 50 mil angielskich. Wyjeżdżali więc konfratrzy do tych miejscowości, kiedy nie byli na misyach — a w New-Haven pracowali w tej ciasnej hali, którą teraz oglądając, domyślałem się, ile tam potu wylać musieli. Zaraz jednak zwrócili uwagę ludu na to, że trzeba myśleć o kościele.

Bóg dziwnie im błogosławił i ułatwił zamiary te wśród tak przykrych warunków. Lud ich od razu pokochał i dlatego składał chętnie datki na kościół. Nadarzyła się wkrótce sposobność zakupienia kościoła już gotowego od Szwedów protestantów; przy kościele probostwo i organistówka w położeniu ładnem przy jednej z główniejszych ulic. Kupili to wszystko na własność polskiej parafii za 24.000 dolarów (7.000 mieli gotówki, resztę pożyczyli). Kościół oczyszczono i odmalowano, dnia 23. października r. 1904. uroczyście poświęcono i odtąd Polacy w New-Haven są w swoim wygodnym kościele. Kościół ładny, murowany w stylu romańskim, ładnie zaopatrzony, piękny ma organ, pomieści około 1.000 osób. W liczbę też Polacy wzrośli, bo

---

[1]) Mila angielska = 1609 m.

obecnie ich już przeszło 2.000. Pracują we fabrykach dubeltówek, dynamitu, fabrykach wełny etc. Kilku ma farmy, t. j. gospodarstwa rolne w okolicy, a wszystkim wiedzie się dobrze. Obok pracy w tej parafii i w dwóch wspomnianych wyżej stacyach misyjnych, ciągle byli konfratrzy wzywani na misye i pomoc w innych parafiach. Nie wystarczało ich więc trzech i dlatego już w sierpniu 1905. r. przybywa im na pomoc 2 konfratrów: ks. Konieczny Stanisław i ks. Sołtysek, a z początkiem postu 1906. r. jadą tamże ks. Dylla, ks. Kołodziej i ks. Król Hugo. Już bowiem i domów przybywało. W lipcu 1905. r. polecił ks. Biskup konfratrom, aby we wspomnianem wyżej miasteczku Derby tamtejszą polską stacyę misyjną zorganizowali w osobną parafię. Zajęli się więc tem zaraz. Ponieważ dotychczas, gdy przyjechali tutaj do Polaków, odprawiali dla nich nabożeństwa w bezimencie, t. j. suterenach kościoła irlandzkiego, wynajęli teraz na prowizoryczną kaplicę halę dosyć obszerną i mieszkanie dla księdza. Już w następnym roku zakupili miejsce pod kościół i dom na plebanię. Ks. Waszke wziął się rączo do dzieła i na Boże Narodzenie w 1906. r. już stanął kościół ładny, murowany w stylu gotyckim, o którym więcej szczegółów podadzą podobno Roczniki na innem miejscu. Nowy więc też tu powstał dom Zgromadzenia naszego, w którym dwóch księży konfratrów stale mieszka. Ludność polska w Derby, miasteczku, mającem 7.000 mieszkańców, położonem o 20 km. na zachód od New-Haven, pracuje we wielkich tamtejszych fabrykach żelaznych, stalowych i wełnianych. Do tejże parafii należą Polacy z poblizkiego Schelton. Komunikacyę z New-Haven ma bardzo wygodną, bo koleją i tramwajem elektrycznym, który kursuje co pół godziny. Równocześnie z pracą organizacyjną w tej parafi takąż pracę było trzeba podjąć na nowem stąd o 300 km. na południe miejscu. W Conschohoken, miasteczku fabrycznem, mającem 8.000 mieszkańców, położonem od miasta Filadelfii o 25 km. na północny-zachód, był kościółek filialny parafii Manayunk, gdzie proboszczem jest ks. Tomiak. Polacy, nie chcąc należeć do

Manayunk, ale pragnąc zorganizować się w osobną parafię, domagali się osobnego proboszcza. Za staraniem ks. Tomiaka polecił ks. arcybiskup z Filadelfii tę parafię nową naszym konfratrom — a ks. Tomiak ofiarował im na własność dom dość obszerny z ogrodem. Jedna i druga z tych nowo zorganizowanych przez naszych konfratrów parafii liczy każda około 1.000 dusz. W ten sposób zyskali konfratrzy w Ameryce Północnej 3 punkta oparcia dla swojej pracy misyjnej. Z trzech tych domów łączą siły swoje razem, gdy trzeba podjąć pracę na misyi.

Te trzy posterunki misyonarskie w Północnej Ameryce miałem zwiedzić przedewszystkiem. To też spiesznie było mi je zobaczyć. Dlatego choć Nowy-York dla mnie przybysza z naszej starej Europy przedstawiał świat nowy, a bardzo dziwny, nie chciałem się w nim długo zatrzymywać. Zobaczyłem tylko wspaniałą gotycką katedrę katolicką, której presbiteryum z białego marmuru wygląda jak cacko, a całe wnętrze lśni bogactwem; przejechałem w jedną stronę tego olbrzymiego miasta koleją podziemną, która pędzi szalonym biegiem pod ulicami, na których się roją nieprzeliczone tłumy, przebiegłem w drugim kierunku koleją górną, która w wysokości drugiego piętra pędzi ponad ulicami i podziwiałem ten ruch olbrzymi tego największego mrowiska ludzkiego, a potem wsiedliśmy do pociągu, co nas miał zawieźć do New-Haven, które mnie więcej ciekawiło jak New-York, bo tam nasi konfratrzy. Zwykle w takich wypadkach zdają się nam za wolno unosić nas koleje, a tymczasem kolej amerykańska, co wszystko chce prześcignąć, usiłowała, zdaje się, i myśli i ciekawość moją wyprzedzić, tak pędziła. Bez zatrzymania, jednym tchem, w niecałe $1\frac{1}{2}$ godziny stanęła z New-Yorku w New-Haven. Ale też spieszyła się tak, że ani dla nabrania wody po drodze się nie zatrzymała, ale w biegu z koryta, między szynami znajdującego się, przyrządem osobnym narzucała sobie do swego rezerwoaru wody, gdy się jej zapasy wyczerpywały. Spieszyła się, bo to kolej amerykańska, gdzie dobrze pamiętają, że czas to wielki pie-

niądz. Przyjechaliśmy do domu konfratrów, zbudowanego z drzewa na sposób domów szwajcarskich, a raczej prawdziwie po amerykańsku. Z zewnątrz obity deszczułkami, poma-



Nasz kościół w Abranches.

lowany, wewnątrz deski oblepione tapetami, cztery pokoje i kuchnia na dole, 5 pokoików na piętrze, gustowne, ale filigranowe wszystko. Miałem wrażenie, że będzie tam trzeba chodzić zawsze na palcach, gdyż mocniej stuknąć, dom się

rozchwiać może. W takich domkach lubują się Amerykanie. Ładny, lekki domek w ogródku, gdzie właściciel mieszka sam jeden, bez lokatorów, to ich ideał. W mieście takim, jak New-Haven, jest kilka ulic w centrum, gdzie handel i przemysł, o kamienicach silnie budowanych, przy ulicach zaś, gdzie mieszkania prywatne, — wszystkie domki to jakby letnie pałacyki. Monumentalności w budowlach nie lubią Amerykanie, lubią tylko wygodę i praktyczność. Te dziwadła 25-cio piętrowe w New-Yorku to także dla praktyczności pobudowane na małym kawałku gruntu, który jest bardzo drogi w New-Yorku; stawia się wiele piątr, na które się nie potrzeba fatygować po schodach, ale jedzie się windami. Kto szuka wygodnego mieszkania prywatnego, nie mieszka w New-Yorku, ma tam tylko kantor swój i dojeżdża doń codziennie. Z domu poszliśmy do kościoła. Ładny, murowany, z czerwonej cegły, w środku jeden ołtarz ładnie rzeźbiony, nad którym figura Najśw. Panny Niepokalanie Poczętej; po bokach ołtarza ładne figury Serca Pana Jezusa i św. Stanisława biskupa, na chórze wspaniały organ, cały kościół zasłany dywanami i zapełniony ławkami wyściełanemi, tak samo galerya, która biegnie wokoło. Wszędzie tam w kościołach pełno ławek, bo każdy przyzwyczajony do miejsca siedzącego, za które płaci, wchodząc do kościoła. Sklepienie, jak we wszystkich prawie kościołach w Ameryce, lekkie i drewniane. Żałuje Amerykanin grubych murów pod sklepienie murowane. Po większej części są kościoły amerykańskie stosunkowo nizkie wewnątrz dlatego, że mają t. zw. beziment, t. j. sutereny pod spodem. Są to sale, w których się mieści szkoła parafialna i odbywają się zebrania towarzystw, bardzo licznych w Ameryce. Tak samo jest i tutaj. Niestety szkoły polskiej nie mogli konfratrzy założyć, gdyż Polacy w New-Haven są zbyt rozproszeni w mieście i poza miastem, dzieci więc do jednej szkoły posyłaćby nie mogli. Wielka to zaś szkoda, bo o zachowaniu narodowości u Polaków tam tylko mowa być może, gdzie mają swoje szkoły. Tak samo szkoda to jest i pod względem religijnym. Szkoły

rządowe są bezwyznaniowe i oczywista amerykańskie. Dziecko polskie w takiej szkole przyzwyczaja się szczebiotać po angielsku z otoczeniem, a języka ojczystego zapomina i traci zamiłowanie doń zwłaszcza, że i rodzice we fabrykach do tegoż języka przyzwyczajeni, nie reagują tak bardzo. Również i o religii w szkole rządowej nie słyszy, owszem panuje tam duch protestancki. Wyłącznie więc tylko w kościele na dzieci oddziaływać można, co jest za mało. Ponieważ rząd daje całą swobodę szkołom prywatnym, dlatego katolicy, zapłaciwszy podatek rządowy na szkoły publiczne, zakładają oprócz tego szkoły tak zwane parafialne, gdzie swoje dzieci posyłają. Dla Polaków taka szkoła ma podwójne znaczenie, t. j. religijne i narodowe. Dlatego wszędzie, obok kościoła starają się mieć swoje szkoły. Wielka szkoda, że w New-Haven szkoła taka jest niemożliwa. Lepsze warunki są w Derby i w Conshohocken, gdzie też konfratrzy już szkoły zakładają.

Nadeszła sobota, niedziela, nabożeństwo różańcowe i wtedy miałem sposobność oglądać kościół mistyczny w New-Haven, t. j. wiernych. W sobotę i w przeddzień świąt garną się Polacy licznie do spowiedzi św. wieczorem po robocie we fabrykach. Konfratrzy spowiadają zawsze do 10-ej lub 11-ej. W samą niedzielę i święta również penitentów nie braknie. Na sumie kościół przepełniony; na nabożeństwach różańcowych było też więcej jak połowa kościoła i to nie tylko kobiet (zawsze postrojonych w panie) ale i mężczyzn i młodzieży. W samą Matkę Boską Różańcową wszedłszy na ambonę, doznałem rzewnego uczucia, gdy zobaczyłem kościół przepełniony, a między ławkami rzędem z jednej strony „Dragoni polscy“, z drugiej „Rycerze św. Kazimierza“ w całej paradzie. Wyglądali jak wojsko polskie. Polacy w Ameryce zrozumieli ważność stowarzyszeń, gdy widzieli, że wszystkie przedsięwzięcia wielkie w Ameryce tylko kompanie przeprowadzają. Łączą się więc w liczne stowarzyszenia, którym lubią dawać nazwy polskie i członków stroją w mundury wojska polskiego. Przy uroczystościach wielkich występ-

pują w paradzie z chorągwiami polskiemi na czele; rząd zaś amerykański, nie bojąc się tak jak rząd pruski, żeby to „wojsko polskie“ swoją chorągwią nie zmiotło ich państwa, pozwala na publiczne pochody i parady takim stowarzyszeniom. Aby więc uczcić Matkę Boską Różańcową, przyszli ci rycerze polscy na sumę w całej paradzie. W kazaniu pochwaliłem im i ten sposób uczczenia Matki Boskiej, przypominając im, jak dawni rycerze polscy za zaszczyt sobie uważali nosić tytuł „sługi Maryi“. Bardzo miłe wrażenie robili wogóle na mnie Polacy, kiedy w niedziele i święta, postrojeni, spieszyli do kościoła, a farmerzy (gospodarze zpoza miasta) przyjeżdżali w eleganckich powozikach, zaprzężonych w cale piękne konie. Miło mi też było widzieć, z jakiem przywiązaniem i szczerością garnęli się do swoich księży, naszych konfratrów. Te same stosunki pod względem religijnym i dobrobytu spotkałem i w innych miejscowościach, w których osiedli nasi konfratrzy.

Do Derby z New-Haven jest podróż niedaleka. Tramwajem przejedzie się w 40 minutach. Położone jest Derby piękniej aniżeli New-Haven, bo otoczone wzgórkami i lasami. Kościół nowozbudowany, o którym wspomniałem wyżej, położony pięknie u stóp wzgórza, skąd panuje nad kotliną, w której cały ruch Derby się skupia. W bezimencie tego kościoła są wcale piękne sale, w których obecnie już odprawia się nabożeństwo, a kiedy się przeniosą z nabożeństwem do kościoła górnego, będzie tam szkoła, w której uczyć będą albo siostry Nazaretanki albo Felicyanki. Plebanijka obecnie dosyć szczupła, choć piętrowa, a jeszcze więcej filigranowa niż w New-Haven. Ale po ukończeniu kościoła mają parafianie zamiar zabrać się do wybudowania nowej plebanii. Po ukończeniu wizytacyi w Derby pojechałem do Conshohocken. Droga to dosyć daleka, bo prawie jak z Krakowa do Lwowa. Trzeba wrócić do New-Haven, stąd do New-Yorku, z New-Yorku przepłynąwszy zatokę morską, siada się na kolej pensylwańską, która w $1\frac{1}{2}$ godzinie staje we Filadelfii, mieście ogromnie rozległem, gdzie

Polaków 40.000, pięknych i wielkich parafialnych kościołów 4, a piąta parafia obecnie się organizuje. Z Filadelfii koleją w trzech kwadransach staje się w Conshohocken, do którego z Filadelfii aż trzy linie kolejowe prowadzą. Droga cała z Filadelfii do Conshohocken prowadzi wśród kominów fabryk, przeważnie żelaznych i stalowych. Dom konfratrów, położony na pięknym wzgórku, na skraju już miasta, wskutek tego i powietrze tam nieco lepsze. Domek w ładnym ogródku już uporządkowanym, dosyć duży i wygodny, może dać pomieszczenie 4 — 5 konfratrom. Kościół obecny to hala bardzo niefortunnie jeszcze przed przyjściem konfratrów zbudowana. Parafianie, wypłaciwszy dług 7.000 dolarów, który na tym „kościele" ciężył, koniecznie domagają się, by wystawić kościół inny, któryby ich nie zawstydzał wobec cudzoziemców. Na wiosnę więc przystąpią prawdopodobnie do budowania nowego kościoła. Obecny zaś kościół, a raczej halę, zamienią na szkołę polską. W miejscowości Bridgeport, z której Polacy należą do parafii Conshohocken, stanął już za staraniem konfratrów kościółek filialny, wcale piękny, którego poświęcenie odbyło się z początkiem tej zimy, a dokąd obecnie jeden konfrater z nabożeństwami co niedzielę i święta dojeżdża. Ukończywszy wizyty w tych trzech domach, czułem się przynaglony, aby dziękować Bogu, że w tak krótkim czasie pozwolił konfratrom w tym Nowym Świecie tak się już zakorzenić i tyle dobrego zdziałać. Pragnąłem jeszcze przypatrzyć się zblizka temu dziełu, dla którego oni tu przedewszystkiem pojechali i które przed innemi na sercu leżeć nam powinno, t. j. misyom. Słyszałem już, że w innych zupełnie warunkach odbywają misye, bo Polacy, pracujący w fabrykach, oderwać się w ciągu dnia od pracy nie mogą, a zato, choć zmęczeni całodzienną pracą, chętnie wieczorem na misye spieszą. Nadarzyła mi się sposobność konfratrów na misyi takiej oglądać. Mieli ją właśnie we Woonsocket (wym. Uansaket), położonym w stanie Connecticut w dyecezyi Hartford, gdzie proboszczem jest ks. Morys. Przybyłem do tego miasta w południe. Kościół polski w stylu,

który u nas zakopiańskim by nazwali, pomalowany cały na zielono, zastałem zamkniętym, choć to misya się tam odbywała. Poszedłem do plebanii eleganckiej i urządzonej z wielkim konfortem, gdzie miły i gościnny gospodarz, dawny nasz seminarzysta, przyjął mnie z nadzwyczajną gościnnością. Konfratrów, którzy tam odprawiali misyę, widziałem jak byli znużeni. Zrozumiałem zaś ich znużenie, gdy wieczorem o godzinie 7. poszedłem do kościoła. Cały był zapełniony rekolektantkami, bo to była serya misyjna kobiet. Podziwiałem, z jakiem zajęciem i chciwością słuchały słowa Bożego, które im głosił konfrater, a przecież były one po całodziennej pracy. Po nauce zasiedliśmy wszyscy do konfesyonału i siedzieliśmy aż do godziny blizko 11-ej, dopóki gościnny gospodarz, jak potem zrozumiałem, ze względu na to, że ja tam byłem, nie ogłosił czekającym penitentkom, że mają iść do domu, bo dzisiaj Misyonarze już spowiadać nie będą. Kiedy indziej później ta praca się kończy. Stąd zrozumiałem, dlaczego rekolektantki do domu iść nie chciały i zdziwione były, że Misyonarze już wychodzą. Nazajutrz rychło rano o godzinie 5. już znowu był kościół zapełniony. Jeden z Misyonarzy odprawił Mszę św., rozdał Komunię św., powiedział naukę misyjną, po której robotnice pospieszyły do fabryk. Taka sama frekwencya była także na seryi mężczyzn i taką frekwencyę mają wszędzie, gdzie się Misyonarze pojawią. Ile dobrego przez te misye się robi, kiedyś nam to Bóg dobry objawi, a teraz, kiedy konfratrzy opowiadają zdarzenia i dziwne objawy łaski Bożej na misyi, nie podobna zaprzestawać choć tak denerwującej i wysilającej pracy misyonarskiej, ale dla tyle dobrego warto targać siły misyonarskie, choć i tak szczupłe, i nie żałować nowego poświęcenia. Przed tą misyą odprawili konfratrzy misyę aż na brzegach Wirginii Zachodniej, gdzie wielki głód między Polakami słowa Bożego, podawanego w ojczystym języku. Bardzo się rozrzewniłem, gdy konfratrzy, wróciwszy z tej misyi, aby być obecnymi na wizytacyi domu, opowiadali, jakie tam były

nawrócenia i z jaką wdzięcznością błogosławili ich Polacy i jak im dziękowali, że tak wielki ich głód słowa Bożego zaspokoili.

Po misyi w Woonsocket oczekiwano Misyonarzy w jednej z parafii polskich w dyecezyi Providence. Już była zaraz potem umówiona misya w Cleveland, nad jeziorem Erie



Nasz kościół w Prudentopolis.

i o wiele innych prac misyonarskich się dopraszano. Żniwo wielkie, ale robotników mało, proścież więc gorąco Pana Żniwa, aby przysłał robotników na żniwo swoje.

Z Ameryki Północnej miałem odjechać okrętem do Brazylii dnia 19. października. Tymczasem cyklon, który szalał wówczas w Ameryce Środkowej i na Oceanie Atlantyckim, dał uczuć swoją zgubną siłę; dlatego „Zygmunt“, który miał 19. odjechać do Brazylii, spóźnił się w swej podróży z Ameryki Południowej, wstrzymany falami wzburzonego przez cyklon morza i dopiero po 20. t. m. stanął w New-Yorku; 30. zaś dopiero października miał być goto-

wym do podróży na południe. Mając więc przymusowo jeszcze kilka dni do dyspozycyi w Ameryce Północnej, pojechałem do Buffalo, zwiedziłem Boston i stolicę Stanów Zjednoczonych — Waschington. W Buffalo radowało się moje serce polskie, gdy, idąc po ulicach tego prawie $^1/_2$ milionowego miasta, słyszałem często mowę polską. W całej zaś jednej części miasta widziałem wszędzie napisy polskie i mowę polską prawie wyłącznie słyszałem, nawet rynek w tej części miasta nazywa się „rynkiem polskim". Pięć pięknych kościołów polskich, a między nimi trzy ogromne nadają charakter tej części miasta wyłącznie polski i katolicki. Przy kościołach wznoszą się wspaniałe szkoły polskie. Polacy, złączeni w liczne stowarzyszenia, stanowią siłę w tem mieście wielką; bo też tu liczbą swoją dorównują wielkim miastom polskim, jest ich tu bowiem do 90.000. I znowu podziwiałem praktyczny zmysł Amerykanów, którzy rozumieją, że nie w uciskaniu narodów ich mądrość i siła, ale interes państwa w tem, by narodowość obcą przygarniając i swobodą przynęcając, pozyskiwać użytecznych i dobrych obywateli. W niedzielę powiedziałem w największym kościele tamże, a mianowicie w kościele św. Stanisława kazanie, i mogłem z ambony dopiero ocenić wielkie rozmiary tej wspaniałej świątyni polskiej. Na drugi dzień zrobiłem wycieczkę z Buffalo do Niagary i nawet tam napotkałem Polaków; blizko wspaniałego wodospadu wznosi się kościół polski. Stamtąd przyjechałem do Waschingtonu, gdzie wspaniały Kapitol i piękne gmachy publiczne każą oceniać i podziwiać bogactwa tego tak przemyślnego i praktycznego narodu. To tylko szkoda, że ta praktyczność i gonienie za dostatkiem odbiera mu wszelki polot idealniejszy i wyniszcza artystyczne zapędy, bo u niego wyłącznym artykułem wiary i miarą artyzmu to dolar. Nie potrzebuję chyba wspominać, że odwiedzając konfratrów, odwiedziłem i biskupów, w których dyecezyach pracują. Bardzo miłe wrażenie zrobiła na mnie wizyta u ks. arcybiskupa z Filadelfii, który przyjął mnie z wielką serdecznością, mając na piersiach krzyż biskupi, ofiarowany mu przez Po-

laków. Kiedy się żegnał ze mną, zwrócił uwagę moją na ten krzyż, mówiąc, że to jest dar od Polaków. Powiedział mi także, że i inne krzyże miał od nich. Na moją uwagę, że może niestety nie złote, przywtórzył, ale dodał, że mimo, iż miał od nich krzyżyki, które nie zdobiły, ale bolały, kocha ich bardzo, „bo Polacy to naród, który umie się modlić, umie być ofiarnym, choć umie przytem i walczyć“; była to aluzya do dosyć częstych „buntów“ Polaków w Ameryce nawet przeciwko władzy kościelnej. Niestety są tu stosunki tego rodzaju, że nie zawsze jest należycie poszanowanem uczucie narodowe u naszych współbraci i bardzo wiele zwykle znajdują na drodze przeszkód, chcąc uzyskać to, aby nie należeć do parafii irlandzkiej, lecz zorganizować się w osobną polską parafię. Nie dziw więc, że doznając trudności w tych tak godziwych i szlachetnych swoich usiłowaniach, rozgoryczają się czasem i na drogę nie całkiem legalną przechodzą, choć w archidyecezyi Filadelfii są stosunki pod tym względem jeszcze prawie najlepsze. Wróciwszy z tych wycieczek do New-Haven, dowiedziałem się, że okręt „Zygmunt“, na którym zamówiłem sobie miejsce, już gotowym jest do odjazdu. Pożegnawszy się więc z konfratrami i przepędziwszy ostatni wieczór i noc u ks. Misickiego w Brocklinie przy New-Yorku, dnia 30. października, odprowadzony przez superyorów naszych domów tamtejszych i przez gościnnego gospodarza, o godzinie 3-ej siadłem znowu na okręt, który przez daleki ocean miał mnie zawieźć w całkiem odmienny świat Południowej Ameryki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dzieje Zgromadzenia w Portugalii.

(Ciąg dalszy).

Następcą ks. da Costa na urzędzie superyora domu w Lizbonie, został ks. Józef Joffreu, jedyny z czterech księży, który pozostał w Portugalii, mimo wszystkich trudności tak we wspólnem pożyciu jak i w stosunku do generalnego przełożonego. Był to człowiek dziwnie wytrwały i roztropny i tem uratował Zgromadzenie od upadku. Postanowił doprowadzić za wszelką cenę do zjednoczenia z Generałem i nie cofał się przed żadnemi trudnościami. Zerwanie stosunków dyplomatycznych z Rzymem w r. 1725. zaostrzyły całą sutuacyę ze strony rządu królewskiego; lecz i po zawiązaniu stosunków ze Stolicą Apostolską król był nieugięty. I tak wśród próśb, modlitwy i cichej pracy upłynęło ks. Joffreu 12 lat, nim uzyskał aprobatę. Przez ten czas Zgromadzenie się też wcale nie rozwijało; do ks. Joffreu i brata Marquisio przyłączyło się tylko dwóch młodych Portugalczyków, którzy później zostali braćmi w domu Lizbońskim. Król Jan V. nie zapominał o Misyonarzach i wspierał ich jałmużnami; ta dobrotliwość królewska sprawiła, że ks. Joffreu odwołał się przez generała Bonnet wprost do sekretarza stanu w Portugalii, by raz uzyskać upragnione zjednoczenie z całem Zgromadzeniem. Król niezdecydowany odesłał sprawę do Rzymu do kuryi, gdzie jednak wobec co tylko nawiązanych z królem stosunków, kwestyi po myśli ks. Joffreu nie załatwiono, a nawet zamianowano go niezależnym przełożonym. Zniecierpliwiony pertraktacyami i przerażony swą świeżą nominacyą, postanowił ks. Joffreu podziękować królowi za jego wspaniałomyślność względem Zgromadzenia i wrócić do rodzinnej Barcelony lub do Paryża. Już i na dworze Jana V. podnosiły się głosy przeciw ks. Joffreu, lecz król zawsze ła-

skawie odpowiadał: „Zostawcie w spokoju tego cudzoziemca, ja chcę, żeby w mym kraju pozostał!“ Ostatecznie król wyjednał od papieża Benedykta XIII. nowe brewe; ks. Joffreu jako posłuszny syn św. Wincentego poddał się wyrokowi Stolicy Apostolskiej i „z boleścią w duszy“ postanowił wyczekiwać, co czas przyniesie. Tymczasem przy pomocy dwóch zacnych kapłanów świeckich, Emanuela i Józefa de Mattos Botelho, kieruje rekolekcyami ordynandów i pracuje przy swym kościele. Zakresu pracy nie mógł rozszerzyć dlatego, że i Paryż wobec całej dyplomatyki króla i papieża zajął wyczekujące stanowisko. Król jakby dla przejednania ks. Joffreu nie szczędzi jałmużn dla Misyonarzy i jawnie okazuje im swoją przychylność. Sam wraz z całym dworem i rodziną brał udział w beatyfikacyi św. Wincentego à Paulo w r. 1729, przez całe triduum przyjeżdżał do kaplicy Ks. Ks. Misyonarzy, gdzie asysta, chór i służba kościoła patryarchalnego z Lizbony z całą okazałością występowała przy nabożeństwie. Ks. Joffreu ustał w swej natarczywości, widząc, że stosunki dyplomatyczne z Rzymem z powodu pretensyonalności króla uległy zerwaniu; wśród oczekiwania na zatwierdzenie jedności, urządził dom przy pomocy subwencyi i jałmużn z królewskiej szkatuły. Dopiero rok 1738., pamiętny kanonizacyą św. Wincentego a Paulo, przyniósł ks. Joffreu tyle upragnione zatwierdzenie i uznanie zależności Zgromadzenia od Paryża. Król portugalski Jan V. już od beatyfikacyi miał do św. Wincentego szczególniejsze nabożeństwo. Dowiedziawscy się teraz o zamierzonej kanonizacyi naszego św. Założyciela, postanowił tę uroczystość uczcić po królewsku. Najpierw kazał własnym kosztem powiększyć kaplicę w Rilhafolles, tak, że wzrosła teraz do rozmiarów średniego kościoła; miesiąc przed kanonizacyą św. Wincentego wydano z rozkazu króla żywot naszego św. Założyciela i reguły wspólne Zgromadznia; oba wydawnictwa były wspaniałe, a w tak wielkiej liczbie wytłoczono egzemplarze, że według Misyonarza Vieiry starczyłyby dla wszystkich Misyonarzy aż do końca świata. Sama uroczystość kanonizacyjna miała przebieg wspaniały, nabożeństwa

rozpoczęły się 18. lipca i trwały przez całą oktawę. Król z następcą tronu i dwór cały brał udział w rannem i wieczornem nabożeństwie; w kościele zjawiły się wszystkie zakony i tłumy ludu! Najwięksi mowcy głosili cnoty św. Wincentego, a chór i muzyka kościoła patryarchalnego uświetniły całą uroczystość. Król pokrył ze swej szkatuły wszystkie wydatki i ofiarował do kościoła piękną srebrną lampę wartości pięciuset tysięcy reisów. Ks. Joffreu, zachwycony hojnością króla i przebiegiem całej tej uroczystości, pisze też w swym liście do generalnego przełożonego ks. Couty: „Uroczystości kanonizacyjne zakończyliśmy uroczystą procesyą, w której brała udział niezmierna ilość osób. Wogóle nie jestem w stanie wypowiedzieć, ile król dla nas zrobił, jak kościół odnowił i ozdobił, jak wspaniałe były nabożeństwa i królewskie uczty. Jednem słowem, takiej oktawy nikt jeszcze nie widział w Lizbonie. Przez cały ten czas król wraz z familią przebywał w naszym domu od rana do wieczora, tak, że był to raczej pałac królewski niż dom Misyonarzy. Niemniej królowa zbudowała nas swoją pobożnością, bo opuściła chorą infantkę, ażeby dwukrotnie pomodlić się przed relikwiami naszego św. Założyciela“. Na pamiątkę tej uroczystości podarował ks. Joffreu królowi ozdobnie oprawione relikwie św. Wincentego; pokornie uklęknął pobożny monarcha i z wiarą przyjął ten cenny dar. Superyor podziękował wtedy królowi za jego życzliwość dla Zgromadzenia i pocałował go w rękę, prosząc zarazem o potwierdzenie łączności z generałem. Król, dotychczas nieugięty pod wpływem nauk i swego nabożeństwa do św. Wincentego, zgodził się na prośbę ks. Joffreu. Tak z uroczystością kanonizacyjną przyniósł św. Wincenty zatwierdzenie jedności dla prowincyi portugalskiej i znowu zakwitnęła na drzewie Zgromadzenia nowa latorośl, aby po kilku latach wydać obfite owoce pracy na chwałę Bożą. O ile ze schizmy smucili się generalni przełożeni, o tyle ogólna radość zapanowała w całem Zgromadzeniu na wieść o dokonanem zjednoczeniu. Przepowiednia ks. generała de Couty, że św. Wincenty ze swą kanonizacyą przyniesie unię dla

Zgromadzenia w Portugalii, spełniła się. Z radością oznajmia to w cyrkularzu z r. 1740. tenże przełożony generalny i dodaje między innemi: „Zaraz po kanonizacyi Jego Królewska Mość poprosił mnie o czterech włoskich Misyonarzy, trzech księży i jednego brata, o dwóch Hiszpanów i dwóch Francuzów, po jednym księdzu i jednym bracie. Po otrzymaniu listów zwróciłem się zaraz do ks. de la Gruère, przełożonego w Saint Cyr, do ks. Barrera, przełożonego w Palmie, na wyspie Majorce i do ks. Pont w Barcelonie, bo ich pragnie król mieć w swoim kraju; 7 innych wezwałem i wsiedli już na okręty w drogę do Portugalii. Król przyjął ich z wielką życzliwością. Przy tej sposobności wypytywał się o nasze prace we Francyi i innych krajach, wyrażając zarazem nadzieję, że Zgromadzenie i w Portugalii rozwinie swą pracę dla dobra jego poddanych. Na końcu posłuchania rzekł do Misyonarzy: „Wspierajcie się wzajemnie, bądźcie szczęśliwymi i pracujcie na chwałę Bożą i zbawienie dusz moich poddanych, a gdybyście czegoś potrzebowali, to powiedzcie otwarcie a wasze potrzeby zostaną zaspokojone. Znacie język łaciński, francuski i włoski, lecz spodziewam się, że wnet i portugalskiego się nauczycie, ażeby skutecznie nauczać moich poddanych". Wogóle król Jan V. był pełen życzliwości dla Zgromadzenia, które też odtąd zapuściło korzenie w kraju macierzystym, aby później przenieść się i do kolonii królestwa portugalskiego. Wobec większej liczby członków i praca Zgromadzenia przybrała wielkie rozmiary.

Najpierw otwarto seminaryum w dniu 19. kwietnia 1741 r., początek zapowiadał się świetnie, bo zaraz pięciu kapłanów portugalskich wstąpiło do niego. Tymczasem, dzięki szczodrobliwości króla, powstawały ciągle nowe domy i mnożyły się nadania. Dom centralny w Rilhafolles nie miał pewnych dochodów; otóż osobnym dekretem zapewnił mu je monarcha w tych słowach: „Ja król! oznajmiam niniejszem, że ze względu na dobro, które Zgromadzenie Misyi ma zdziałać dla mych poddanych i na cześć św. Wincentego postanowiłem ufundować dom dla czterdziestu Misyonarzy, którzy, pod-

legając generalnym przełożonym Zgromadzenia, mają w tymże domu poświęcać się dziełom swego powołania". Okólnik ks. Generała de Couty z r. 1743 przynosi nam nowe szczegóły, widocznie król nieustawał w swej życzliwości. Tknięty paraliżem w r. 1742. robi jeszcze większe zapisy i ofiary. Wśród tego pomyślnego rozwoju Zgromadzenia umiera ks. Joffreu 20. stycznia 1743., doczekał się pięknych owoców swej 12-letniej cierpliwości i mógł spokojnie schodzić ze świata. Następcą jego został ks. Barrera, pochodzący z Palmy na Mojorce. Cyrkularze generalnych przełożonych rok rocznie przynoszą o prowincyi portugalskiej coraz pomyślniejsze wieści aż do śmierci króla Jana V. t. j. do roku 1750. W 1744 roku król zakupuje na rzecz Misyonarzy znaczny kawał gruntu przylegający do dawnych zabudowań i tu według planu króla miał stanąć wspaniały dom dla Misyonarzy. Śmierć jednak przeszkodziła mu w wykonaniu tego zamiaru; stanęła tylko część tego gmachu przeznaczona dla rekolektantów i to jeszcze wedle uproszczonego projektu, bo Generał nie zgodził się na tak wspaniały budynek. Wogóle, król miał za wiele propozycyi i zamiarów, a członków Zgromadzenia było za mało. Nawet już do Brazylii chciał król w swej gorliwości wyprawić Misyonarzy, lecz z powodu braku księży trzeba było tę wyprawę odłożyć. W tych latach objęli Misyonarze dom w mieście Miranda, skąd później przenieśli się do Braganzy. Wobec kilku kapłanów portugalskich, którzy wstąpili do Zgromadzenia, podjęli się i misyi po parafiach Misyonarze. Pobożny Jan V. dowiedziawszy się, że dzieło jego, na które tyle łożył, już zaczyna owoce wydawać, zamówił kilkanaście mszy św. by uprosić u Boga błogosławieństwo dla pracy misyjnej. Miary życzliwości królewskiej dopełnił jeszcze papież Benedykt XIV., który w 1745 roku z życzliwości dla Jana V. wydał do narodu portugalskiego sławne brewe: „*ad montes domus Domini*". Papież wzywa w tem brewe cały naród do radości i wdzięczności ku Bogu, że pozyskał dla swego kraju tak gorliwe Zgromadzenie i sam udziela kapłanom Zgromadzenia misyi różnych przywilejów. Jednem słowem, o ile po-

czątki Zgromadzenia były trudne w Portugalii, o tyle teraz złożyły się wszystkie czynniki na to, tak kościelne jak świeckie, by przyśpieszyć niebywały jego rozkwit i rozwój. Już w 1746 r. mimo, że liczba domów w Portugalii nie doszła jeszcze do czterech, dom lizboński uzyskuje na mocy przywileju papieskiego prawo głosu na konwencie generalnym. W roku 1749 założono wielkie seminaryum świeckie, a Paryż dostarczył pomocy posyłając kilku profesorów do Lizbony. Wogóle, Zgromadzenie rozwinęło już swą pracę, miało zabezpieczoną przyszłość, kiedy nagle w r. 1750 umarł jego największy dobroczyńca król Jan V. Wobec jego zasług i życzliwości dla Zgromadzenia poleca go generalny przełożony De Bras modlitwom Misyonarzy, a pamięć jego uczczono w domu macierzystym zawieszając jego portret obok obrazu św. Wincentego, gdzie się znajdował aż do rewolucyi francuskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

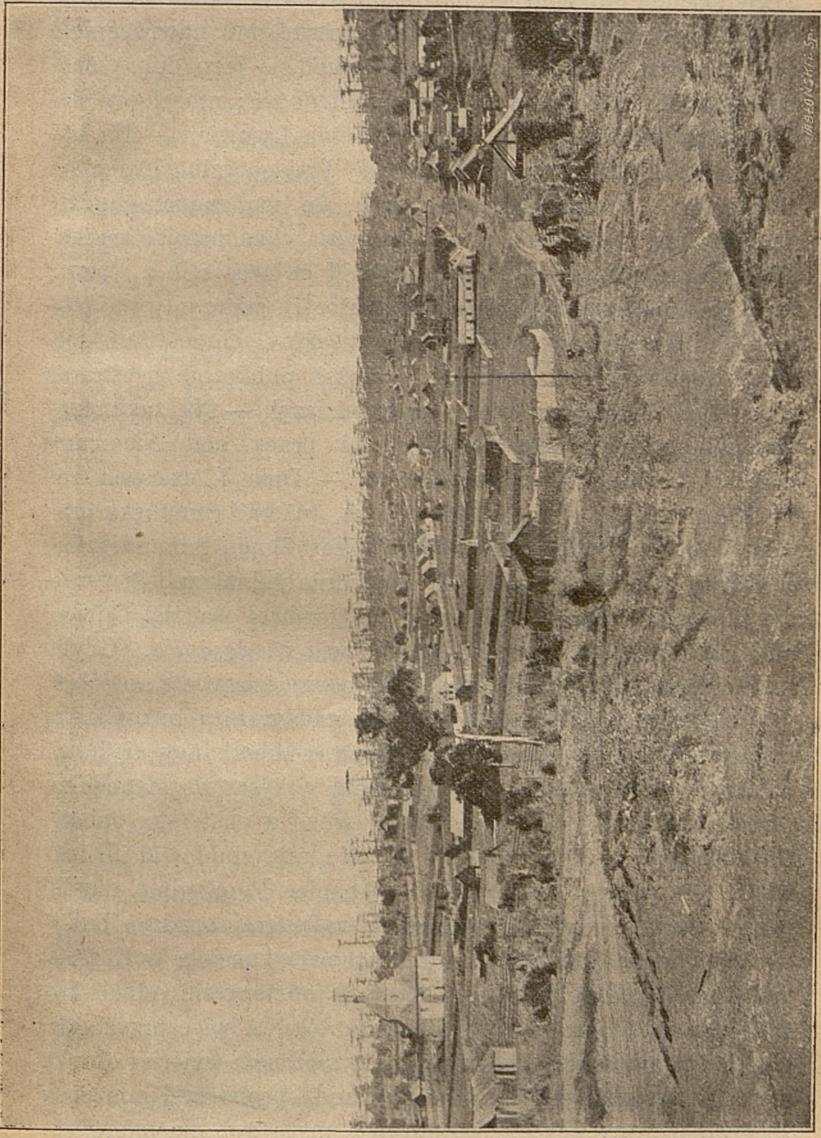
Ks. J. Rzymełka.

Misye konfratrów węgierskich.

1) Bukowina.

Ks. Franciszek Aronffy pisze z Pilis Csaby do pewnego konfratra w Grazu, 28. września 1906.:

Już w chłopięcych latach nasłuchałem się wielu opowiadań o tak zwanych Csángó, którzy przed stu przeszło laty opuścili Siedmiogród i osiedlili się w pięciu osadach na Bukowinie, trzymając się wiernie wiary św. To też wielcem się ucieszył, gdy pewnego poranku przyszedł do mnie ks. Superyor i powiedział: „Ks. Superyor z Kaczyki prosi z polecenia ks. Arcybiskupa lwowskiego o misye dla Csangosów na Bukowinie. Możeby ksiądz miał ochotę pojechać?“ — Byłbym się wybrał natychmiast. Wyjazd nasz atoli naznaczono dopiero na 25. kwietnia. Puściliśmy się z drugim konfratrem na Stanisławów. W Czerniowcach oczekiwał nas już ks. Superyor Słomiński oraz deputacya Csangosów. A na stacyi Hadikfalva przywitała nas ludność tak czule, jak gdybyśmy byli dawnymi znajomymi. Nazajutrz, w niedzielę 30. kwietnia, zaczęliśmy tam misyę uroczystą procesyą. Ludu było tak mnogo, że duży stosunkowo kościół nie mógł wszystkich pomieścić. Dobrzy to ludzie, szkoda tylko, że pijaństwo wśród nich bardzo zakorzenione. Ślubowało około tysiąca mężczyzn. Dałby Bóg, żeby wytrwali w św. postanowieniach. — Dziesięć dni trwała misya. Ponieważ niewygodnie było zaczynać następną wśród tygodnia, pojechaliśmy na kilka dni do konfratrów w Kaczyce. Wypocząwszy nieco ruszyliśmy w sobotę 13. maja do Istensegits na dalszą pracę. Rzadko gdzie mogłem spotkać lud, któryby tak pilnie uczęszczał na nauki ranne. W następną niedzielę zakończyliśmy tutaj pracę, a już w tym samym dniu wieczorem zaczyna-



Ogólny widok Prudentopolis.

liśmy w Andreásfalva. Napotkaliśmy tu około trzystu kalwinów węgierskich. Poprzedni ich pastor nawrócił się, kilka lat temu, i chciał zostać kapłanem, żeby pracować nad nawróceniem swych rodaków. Ale P. Bóg zadowolnił się jego dobrą chęcią, a szczęścia tego mu nie pozwolił dożyć: umarł on klerykiem w seminaryum duchownem we Lwowie. — Na kazania przychodzili też różnowiercy. Pewien młodzieniec po powrocie z kazania oświadczył ojcu, że ma zamiar chodzić na wszystkie dalsze nauki, a następnie chce przejść na katolicyzm. Ojciec groził, karał, wydalił go wreszcie z domu; wszystko napróżno. Nam się zdawało, że patrzymy na którego z wyznawców pierwszych wieków chrześcijańskich. Dzielny młodzieniec wytrwał i złożył publicznie wyznanie wiary św., chociaż go ojciec wydziedziczył. — Na zakończenie poświęciliśmy jeszcze kilka dni pracy nad Niemcami w kościele filialnym w Neu-Fratoz. — Dnia 4. czerwca zaczęliśmy czwartą misyę w Józseffalva, tuż nad rumuńską granicą. Proboszcz tamtejszy musiał przez długie lata mieszkać w prostej chłopskiej chałupinie. Ochotnie jednak znosił wszelkie niewygody dla tej szczupłej, ale gorliwej osadzie. Odcięci niejako od świata niewinne prawdziwie wiodą życie. Gdyby tu Siostry dom otwarły, miałyby z pewnością wiele powołań.

Zielone Świątki obchodziliśmy nad granicą bukowińską w siedmiogrodzkiej osadzie, Lajosfalva. Mieszkańcy nieliczni, w liczbie zaledwo 350, mówią niemal wszyscy po niemiecku. Dopiero od pięciu lat mają oni prawdziwą pasterską opiekę. Gorliwy biskup siedmiogrodzki, ks. Majláth, zbudował im niewielki, ale piękny kościół, oraz plebanię. Poprzednio musiał proboszcz mszę św. odprawiać w sąsiedniej osadzie bukowińskiej, zwanej Kirlibaba. Fundatorowie kościoła w Kirlibabie, mąż katolik, żona protestantka, postanowili oddać kościół na użytek katolików i protestantów. A więc przychodzi pastor i prawi naukę dla swoich, a tymczasem świece i obrazy wynoszą do zakrystyi. Po nim nadchodzi proboszcz, poświęca zbeszczeszczony kościół i odprawia mszę św. dla wiernych. Na ambonę nie wolno mu wchodzić, bo zbudowali ją różno-

wiercy. — Szczęściem dla nas, że już kościółek w Lajosfalva był wykończony, bo inaczej i mybyśmy musieli chodzić do Kirlibaby. Pracy było podostatkiem, bo poprzychodzili też do spowiedzi św. katolicy z Kirlibaby.

Nigdy jeszcze tak jasno nie pojąłem, jak obecnie, słów naszego św. Założyciela, wyrzeczonych przy powrocie z pewnej misyi: „Sądziłem, że bramy Paryża zwalą się na mnie, bo wracałem do domu, a tam jeszcze tyle dusz jęczy pod ciężarem grzechów“. Na płacz mi się zbierało, gdym po raz ostatni zobaczył w przejeździe kościół w Hadikfalva. Wyspowiadaliśmy wprawdzie w czasie tych pięciu misyi 6500 dusz, ale ile ich jeszcze pozostało!

Tak po dwumiesięcznej pracy zawitaliśmy znowu na świętych Piotra i Pawła w naszym domu w Pilis Csaba.

Ks. Franciszek Aronffy.

2) Wśród Węgrów i Słowaków.

Ks. Józef Báthora, superyor z Pilis Csaby, pisze do ks. Wizytatora Binnera, w liście z 30. września 1906.:

Ks. biskup August Fischer-Colbrie, objąwszy z początkiem roku zarząd dyecezyi kaszowskiej (jako administrator apostolicus), zalecił zaraz w pierwszym liście pasterskim do duchowieństwa misye ludowe, a na kierowników wskazywał przedewszystkiem naszych księży, zaznaczając, że nam raz na zawsze udziela pełnej juryzdykcyi, ilekroć z rozkazu przełożonych podejmiemy się tej pracy. Był w tym celu osobiście u konfratrów w Budapeszcie, a do nas do Pilis Csaby pisał kilkakrotnie. Posłuszni temu wezwaniu, daliśmy przez pół roku szereg misyi dla Węgrów i dla Słowaków.

Zaczęliśmy w Boldogköváralja w samą uroczystość Imienia Jezus. Już od wczesnego poranku gromadziły się tłumy ludu, a mnóstwo wozów przed kościołem świadczyło, że wielu przybyło z daleka. Tak samo było w ciągu całej misyi, z najdalszych okolic stawało wszystko punktualnie na kazania ranne i wieczorne, nawet dzieci nie chciały zostać

w domu. W jakiejś wiosce nadleśniczy obszedł wszystkie chaty dla zwerbowania furmanek, a nie znalazł ani jednego mężczyzny w domu. Szkoda, że ten lud dotąd nie zepsuty, tłumnie emigruje do Ameryki, a stamtąd z dolarami przywozi dwie przywary: pijaństwo i przekleństwa. Początek tej pięknej misyi uświetnił sam ks. Biskup, osobiście nam włożył stuły i podał krucyfiks.

Następna misya, także w styczniu, odbyła się w Abaujkér. Lud tam równie gorliwy. Pewnego wieczora spotkał proboszcz jednego z najzamożniejszych kalwinów tej miejscowości, który był także na kazaniu, i pyta: „Jak wam się też wydaje to nabożeństwo katolickie?“ „Piękną doprawdy, powiada, jest wasza religia. I ja zostanę katolikiem, ale chyba po śmierci matki, która jest zagorzałą kalwinką“. Jakiś człowiek z Boldogköváralja wracał właśnie w tym dniu z Ameryki, gdyśmy kończyli misyę w Abaujkér. Natychmiast wybrał się w drogę, a znalazłszy jeszcze misyonarzy na miejscu, wyspowiadał się i przyjął Komunię św.

Dnia 18. marca zaczęliśmy seryę misyi słowackich od miejscowości Tapoly-Hanusfalva. Pomimo ulewnego deszczu i błotnistych dróg przybywali poczciwi ci ludzie ze wszystkich wiosek, nawet na pięć mil drogi. Wielu nawet nocowało w Hanusfalva, byle tylko nie opuścić nauk. Największą radość sprawiał nam widok dziatwy wspólnie odmawiającej pacierz poranny i wieczorny oraz śpiewającej śliczne pieśni misyjne. Jeden chłopczyk nawet uprosił u matki, żeby mu wygoliła tonsurę, tak chciał się upodobnić do Misyonarzy. Dla obrzydzenia ludowi pijaństwa kazał ks. Dziekan miejscowy porozwieszać naokoło ambony kilka obrazów ze scenami z życia pijaków nałogowych. To poskutkowało, bo kilkuset wpisało się na misyi do bractwa św. Trzeźwości.

Zakończyliśmy misyę w niedzielę następną rano, a w tymsamym jeszcze dniu pracowaliśmy już w Töltszék. Był w tej parafii zatwardziały grzesznik, który zaskarżony o kradzież na szkodę swej krewnej, popełnił krzywoprzysięstwo i naraził ją przez to na ogromną stratę. W jednej z początko-

wych nauk wspomniał kaznodzieja, że grzesznik zatwardziały niejako żmiję jadowitą żywi w swem sercu. Ks. Dziekan tamtejszy zauważył wtenczas, jak ów krzywoprzysiężca nagle się zmienił, zbladł jak chusta i wyrazem twarzy oraz całą postawą zdradzał straszną walkę wewnętrzną. Pod koniec misyi przychodzi ten zacny kapłan i opowiada z radością, że grzesznik ten nawrócił się i właśnie przed chwilą przyniósł przeszło 1200 koron na wynagrodzenie wyrządzonej krzywdy. — W czasie tej misyi wzrosło już od dawna tu istniejące bractwo trzeźwości o 150 członków.

Dalszą pracę podjęliśmy dopiero po Wielkiejnocy, 12. maja, w Somos. Niebywały natłok był tu przy konfesyonałach. Z dwunastu wiosek schodziły się codzień wielkie gromady ludzi, a wszyscy chcieli się wyspowiadać. Jaki taki porządek zaprowadził proboszcz przez rozdawanie kartek do spowiedzi. — Pod koniec przybył znowu ks. Biskup; sam przewodniczył w pacierzach porannych, słuchał kazań, potem odprawił mszę św. i Komunię św. rozdzielał, a na końcu odmawiał wraz z ludem modlitwy dziękczynne. — Po misyi zaprosił misyonarzy do Kaszowa na kilkudniowy wypoczynek.

Dnia 24. maja zaczęliśmy pracę w Karacsonymezö. Udział był tak liczny, zwłaszcza w dni świąteczne, że w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego i w następną niedzielę musieliśmy mówić kazania i spowiedzi słuchać przed kościołem. A jeszcze większy byłby natłok, gdyby nie różne przeszkody. Tak naprzykład z Töltszék miała przybyć wielka kompania, ale właśnie w chwili, gdy wzywał ich dzwonek kościelny do zgromadzenia się, wybuchnął ogromny pożar, który zamienił w perzynę dwadzieścia dziewięć chat i zniszczył dach na kościele; musieli się więc rzucić na ratunek i na misyę nie przyszli. — Ponieważ na misyach zakładamy i rozszerzamy bractwo trzeźwości, największymi naszymi wrogami są żydzi. Tak było i tutaj. Aby Słowaków zwabić na wódkę, a przez to odwieść od misyi, zaczął im żyd opowiadać, że misyonarze to także żydzi, że i on za młodu po misyach jeździł. Niewielu wszelako dało się uwieść, a na-

wet żydzi i protestanci przychodzili na nauki. Katolicy zaś mimo błotnistych dróg przybywali z najdalszych okolic, a dzieci do błogosławieństwa przywożono na wozach całemi masami — na jednym wozie naliczyłem do dwudziestu dziewięciu. Jakaś chora kobieta przyjechała aż z Tapoly-Hanusfalva, choć już tam brała udział w misyi, i tu zmarła jeszcze przed zaczęciem.

W pierwsze święto Zielonych Świątek, 3. czerwca, rozpoczęliśmy pracę w Abauj-Tihany. Podrostki z tej parafii zamówili sobie na obydwa święta zabawę z muzyką i tańcami. Na prośbę proboszcza zwróciliśmy zaraz we wstępnem przemówieniu uwagę naczelnikowi gminy i rodzicom na niewłaściwość tego postępku. Jakoż jeszcze tego samego wieczora dowiedzieliśmy się, że zacni parafianie złożyli pewną kwotę na odszkodowanie właścicielowi gospody i grajkom, a do zabawy nie dopuścili. Kilkunastu zaś opornych, którzy sobie mimo to tańce urządzili w jakiejś gospodzie pod Kaszowem, obito srodze następnego wieczora. — Natłok ludności, zwłaszcza przy konfesyonałach, był ogromny; toteż wielu przybyłych aż z Somos dlatego, że tam nie dostali się do spowiedzi św., i stąd odeszło bez Sakramentów św. Wracali z wielkim płaczem, a my patrząc na to z bólem serca powtarzaliśmy sobie słowa Zbawiciela: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało“ (Mat. IX., 37).

Nakoniec daliśmy jeszcze krótką misyę w Bajor, od 13. czerwca. Dalszą zaś pracę dla żniw i innych robót w polu odłożyliśmy do końca października.

Ks. Józef Báthora.

Misye w Zachodniej Galicyi dane przez Konfratrów z Kleparza w r. 1905.

Po nader obfitym dla nas w misyjne żniwo jubileuszowym roku 1904. następny rok już nas tyle, co jego poprzednik, nie umęczył, bo i misyi samych daliśmy mniej i nie były tak ciężkie, jak poprzednio. Było ich i tak wszystkich 13, a znowu ta niedogodność, że porozrzucane po rozmaitych kątach Zachodniej Galicyi, którą od szeregu lat obiegamy. O ile się dało, łączyliśmy choćby po dwie misye na jeden wyjazd, żeby na czasie zyskać.

Strzelce Wielkie, powiat Brzesko, dyec. tarnowska. Coś od 2 lat już i w tarnowskiej dyecezyi upowszechnia się system, jakiego się stale trzymają w dyecezyach lwowskiej i krakowskiej, t. j. że przed wizytą kanoniczną przyjazd biskupa do każdej parafii uprzedzają misyonarze. Tu niedawno to prawo ogłoszono; to też jeżeli się trafią parafie, w których ks. ks. proboszczowie przed wizytą nie zdążyli urządzić misyi, to ks. biskup Wałęga po swoim odjeździe tej sprawy zwykle sam dopilnuje. Tak było w Strzelcach. Parafia, przez 20 lat opuszczona, wiele do życzenia zostawiała. Najprzew. ks. biskup Wałęga po wizycie odjeżdżając stąd, polecił gorąco obecnemu proboszczowi ks. Franciszkowi Szablowskiemu, by się o misyę postarał. Tenże zwrócił się do nas tak uprzejmie i serdecznie, żeśmy i rekolekcye w Krakowie urwali a pospieszyliśmy mu z pomocą. Stanęliśmy na miejscu 1. lutego w samo południe. Tak się sprawy złożyły, że właśnie w tym dniu wypadała trzecia rocznica pasterzowania obecnego proboszcza w tej parafii, co też w przemowie swojej przy rozpoczęciu misyi zaznaczył. Wezwawszy na pomoc Ducha św., rozpoczęliśmy pracę. Ludu na sam ten

wstęp był pełny kościół, tak samo nazajutrz w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej i w niedzielę, jak się wszystkie stany zeszły. Kościółek maleńki a parafia liczy 2300 dusz. Misyę rozdzieliliśmy na dwie serye. Kobiet i dziewcząt samych z parafii tutejszej było 800 a gospodarzy i chłopców 700. Oprócz tutejszych parafian, dochodziło też nieco sąsiadów. Nas było czterech i prawie sami wysłuchaliśmy te zastępy. Sąsiadów nie prosił z pomocą ks. proboszcz, bo i tak u siebie zajęci; to wpadną na chwilę, a potem odjeżdżają rychło. W schematyzmie zanotowano, że tu jakieś ćwiczenia duchowne odbyły się r. 1892; niestety, prócz krzyża misyjnego i tej wspomnianej notatki, trudno się było innego śladu dopatrzeć. Prawie wszyscy dopraszali się spowiedzi z całego życia; służyliśmy im chętnie; ale przy końcu już i siły opuszczały. Proboszcz chwilami wpadał do kościoła i aby drobiazgu co nieco uspowiadał, a na ostatni dzień misyi, kiedyśmy już wszyscy dobrze byli skołatani, wpadł tu przezacny ks. Kozak z Borzęcina ze swoim wikarym i tak szczęśliwie się skończyło. Proboszcz zacny słodził nam niewygody, jak mógł. Plebanię ma przyzwoitą, obszerną. Lud też wiele nam pociechy sprawiał, schodząc się chętnie na nauki i gorliwie z nich korzystając. Samo słuchanie spowiedzi, jak wspomniałem, mozolne tu było; aleć nieraz i dobrze pukały serca, kiedy się widziało te tłumy zamyślone, czekające cierpliwie, skoro się któremu uda do kratki przystąpić i opowiedzieć, co na sumieniu zalegało. Do ślubowania chętnie się brali i chyba rzadki wyjątek, żeby kogo pominięto — oby się to tylko utrzymało! Do żywych róż wpisało się wszystko. Długo spali Strzelcanie, ale jak się przebudzili, to nie było ratunku.

Po generalnej Komunii św. we czwartek dnia 9. lutego odśpiewaniem hymnu dziękczynnego „*Te Deum*“ zakończyliśmy tu pracę. Krzyża nie stawialiśmy, bo jeszcze dobry tamten z r. 1892. Ogółem nauk powiedzieliśmy tu 28, osób wyspowiadanych 1500 z górą.

Złota. Pod jesień tego roku miała się odbyć wizyta kanoniczna w dekanacie brzeskim, dlatego też rozpoczął się

tu gorączkowy ruch misyjny: każdy proboszcz spraszał mężów apostolskich, skąd mu się tylko udało. Proboszcz w Złotej, ks. Ignacy Ziołowski, pisał na wszystkie strony w tym samym celu, ale wszędzie mu odmawiano. Zgłosił się wreszcie do nas i przyjęliśmy misyę, bośmy już obiecali i w poblizkich Strzelcach. To też zaledwie skończyła się misya w Strzelcach, ruszyliśmy zaraz po południowym posiłku do Złotej, gdzieśmy zajechali pod sam wieczór. Misya OO. Redemptorystów z r. 1899. nie zapisana w schematyzmie, stąd myśleliśmy pierwotnie Złotej poświęcić 6 dni; dopiero zobaczywszy krzyż misyjny i słysząc, że tu niedawno pracowali tak zacni i sumienni Ojcowie, zmieniliśmy plan, biorąc wszystkie 4 stany na jedno triduum. Parafia liczy 1200 dusz; z tych do spowiedzi św. stanęło 800, nauk i ekshort wygłosiliśmy 14.

Zakliczyn (nad Dunajcem). Resztę zapustu i pierwszy tydzień postu spędziliśmy u swoich na Kleparzu, pomagając przy rekolekcyach ludowych, których jeszcze jedna serya czekała; dalej wspierając Konfratrów w czasie 40-godzinnego nabożeństwa u Sióstr w ostatki, a w pierwsze dni postu dając rekolekcye w zakładzie Helclów. Tymczasem sposobiła się nowa ekskursya dla nas do 2 parafii w dyecezyi tarnowskiej: Zakliczyna i Tymowej. Po silnych mrozach nagle odwilż nastała: śniegi, lody topniały jak na gorącej blasze; stąd rzeki wezbrały a Dunajec stan groźny przybrał. Ostatecznie opadł nagle i mogliśmy się przez niego pod Melsztynem przeprawić.

Stanęliśmy na miejscu w sobotę 11. marca około południa. Jakieś nieporozumienie zaszło co do czasu naszego przybycia: ks. dziekan Sołtys czekał niepotrzebnie ze sumą tak długo, bo renowacya zaczęła się dopiero na „Gorzkich żalach“ po południu. Najprzewielebniejszy Ks. biskup Wałęga, wizytując poprzedniego roku Zakliczyn, zauważył, że wiele dobrego sprawił tu Bóg podczas naszych misyi; ale wpadło mu i to na myśl, że nie wszyscy parafianie z misyi korzystali, bawiąc za granicą. Ta uwaga wystarczyła gorliwemu pasterzowi, by renowacyę zaraz na następny rok u siebie

zarządzić — i to było powodem, że zaledwie kilka miesięcy po misyi znowu nam wypadło w Zakliczynie pracować. Było nas tym razem znowu 4: ks. ks. Odrobina, Kandora, Szymbor i niżej podpisany. Renowacya trwała od 11. do 19. marca, lud gromadziliśmy w dwóch seryach: w pierwszej kobiety i dziewczęta — było ich 2200, w drugiej mężczyzn i chłopców w liczbie 2000. Dziennie mawialiśmy po dwie nauki, a rano była co dzień ekshorta przy pacierzach. Zmian ku dobremu zauważyliśmy w ludzie tutejszym wiele, jednakże nie tyle, jakeśmy się spodziewali, wnosząc z pierwszych zapałów i porywów, którycheśmy byli na misyi świadkami. W czasie tej renowacyi ośmiodniowej wyspowiadaliśmy ogółem 4200 osób, niemal sami, bo OO. Reformaci prawie cały tydzień swoje rekolekcye odprawiali a z sąsiadów pomogli tylko ze Czchowa, Siemiechowa i z Olszyn.

Pod koniec ziemia obeschła tak, żeśmy Komunię św. mężczyznom mogli na cmentarzu dawać. Na konkluzyę zjechał Najprz. Ks. biskup Wałęga z Tarnowa, przemówił do parafian tutejszych a po sumie wybierzmował coś 480 osób. Byli to nie tylko tutejsi parafianie, ale i z okolicy, prawie wszyscy w czasie wizyty kanonicznej byli za granicą na robocie.

Tymowa. W Zakliczynie przeczekaliśmy jeszcze przez poniedziałek 20. marca, żeby spowiadać, co się trafiło niedobitków, a gdy ich brakło, odwiedzić przezacnych sąsiadów tutejszych w Paleśnicy i Siemiechowie, którzy nam tyle okazali życzliwości i z pomocą pospieszyli. Dopiero we wtorek 21. marca zaraz po południu wybraliśmy się przez Domosławice, Czchów do Tymowej, gdzie nowa praca czekała. Tymowa należy do dekanatu czchowskiego, który już poprzedniego (1904) r. wizytował Najprzewiel. Ks. biskup Wałęga. Że zaś przed wizytą nie mogli tu dostać misyonarzy, przykazał Ks. biskup, żeby w czasie najbliższego postu misya się tu odbyła. Stanęliśmy pod wieczór na miejscu i od razu zaczęło się pracę. Proboszcz miejscowy od lat kilku leży sparaliżowany; zastępował go już dziś nieboszczyk, wi-

karyusz *ad personam*, ks. Wojciech Janik, bardzo zacna i poczciwa dusza, on nas też wprowadził.

Misyę rozdzieliliśmy na dwie serye a praca cała szła bardzo gładko i przyjemnie. Pomocy w słuchaniu spowiedzi na obydwóch seryach było dostatecznie. Wyspowiadało się wszystko na czas: kobiet i dziewcząt było 600, gospodarzy i chłopców 550. Nauk i ekshort powiedzieliśmy 26.

Lud bardzo prawy i zacny, aż żal było stąd odjeżdżać. Oprócz rolnictwa, którem się przeważnie tutejsza ludność zajmuje, jest tu kilka znakomitych wyrobów wędlin, które się stąd do Wiednia i innych pierwszorzędnych miast rozchodzą.

Po misyi donosi ks. Janik, że w Tymowej bardzo ładnie się zrobiło: parafianie do karczem nie chodzą, nie tylko ci, którzy ślubowali, ale i inni za przykładem tamtych karczmy omijają. Dwie służące od żydów ze służby odeszły zaraz po misyi. Jeden z nich, najbogatszy, przyszedł prosić, by im księża pozwolili dalej służyć — nie udało się.

Tarnawa Dolna. Wypadło nam się teraz na krakowską ziemię przerzucić. Dekanat suski wyznaczył na ten rok Najprzewielebniejszy Ks. biskup Nowak, jako pole pracy dla Misyonarzy. J. Em. Ks. Kardynał Puzyna sam osobiście kierował dotąd misyami w swojej dyecezyi i parafie misyonarzom wyznaczał; obecnie od dłuższego czasu ciężko cierpiący, zwierzył to dzieło swemu Najdostojniejszemu Pomocnikowi. Po raz pierwszy tedy od N. Ks. biskupa Nowaka wysłani i Jego błogosławieństwem obdarzeni, ruszyliśmy na misye w sobotę przed niedzielą środopostną dnia 1. kwietnia. Stanęliśmy w samo południe w Tarnawie Dolnej ci sami czterej, którzy na poprzednich misyach w tym roku pracowali. Tarnawę przed 9 laty obszerniej opisałem — co zamieściły „Roczniki“ nasze (rok III. str. 67 i następne). Dziś chyba to samo wypadłoby powtórzyć: ten sam kościół piękny obszerny i starannie utrzymany — zastaliśmy, tego samego świątobliwego, gorliwego w nim pasterza, ten sam lud szczerze, całem sercem Bogu i kościołowi oddany. Przyjęcia tak wspaniałego, jak przed 9 laty nie zgotowano nam obe-

cnie, bośmy trafili na śnieżną zimę, na czas najgłębszego postu i pokuty. To zresztą przydatki, które raczej zawstydzają i upokarzają misyonarza, a nie przydają mu pociechy ani zwiększają powagi.

Znając z poprzedniej misyi, jak zacny tu lud w Tarnawie, jak gorliwym cieszy się proboszczem, chcieliśmy tę renowacyę w 3 dniach odbyć, biorąc wszystkie stany na raz; prosił jednak sam Ks. Biskup, by więcej czasu Tarnawie poświęcić. Rozdzieliło się przeto parafian na dwie serye i trwała ta renowacya od 1—7 kwietnia włącznie. Na każdą seryę wypadło po 2 dni z okładem; dziennie miewaliśmy po dwie nauki a przy porannych modlitwach była, jak zwykle, krótsza ekshorta. Sumienia gruntownie przerobione na tamtej misyi i ustawicznie pielęgnowane przez miejscowego pasterza; to też ze spowiedziami kłopotu nie było. Stale nas spowiadało pięciu, a jeszcze i sąsiedzi ze Suchej, Lachowic, ze Zembrzyc, z Krzeszowa i ze Stryszowy dojeżdżali i pomagali tak, że raczej penitentów aniżeli spowiednika brakło. Ucieszony rozkoszami, jakie nam przychyliła praca nad tak zacnym ludem, napisałem kilka słów do Najprzewiel. Ks. biskupa Nowaka, który znowu tak nam odpisał: „Bóg wam zapłać za wielką pociechę, jaką sprawiliście mi listem swoim. Udzielę tych wiadomości Jego Eminencyi, którego niespożytą jest zasługą ożywienie tego ducha religijnego w dyecezyi. Niechaj Bogu będą dzięki nieskończone za to wszystko, co nam i Wam daje. Cóż to za radość musi przejmować duszę Czcigodnego Ks. Dziekana, Pasterza tamtejszego na widok takich skutków. Jego ciągłej, niezmordowanej pracy i poświęceniu się dla dobra dusz pieczy Jego poruczonych. Oby jak najwięcej było takich pasterzy i takich parafii! Pozdrawiam Drogiego Ojca, Ks. Wilhelma, Ks. Odrobinę i Ks. Kandorę, tudzież Ks. Dziekana najserdeczniej. Niech Wam Bóg błogosławi, szczerze Wam oddany *† Anatol.*

Słowa te tak gorące, jeszcze więcej rozbudziły gorliwość i zapał w duszach naszych, żeśmy i nie wiedzieli, kiedy się Tarnawę skończyło. Na zakończenie tej pracy jużeśmy

i nie wiedzieli, co tu wymyśleć, żeby jakoś osobliwie wypadło, a Tarnawian ucieszyło. Znalazła się i potemu okoliczność. Pękł im poprzedniego roku dzwon; dali go przelać i przyszedł jeszcze jakoś w adwencie z fabryki. Tymczasem pozwolenie na poświęcenie tego dzwonu gdzieś w kancelaryi konsystorskiej ugrzęzło. Nadeszło wreszcie pod koniec tej naszej renowacyi. Poświęcił go ks. dziekan w ostatnim dniu; myśmy pomagali i asystowali. Zaraz po spełnieniu przepisanych ceremonii wyciągnęli go na wieżę wśród okropnej śnieżycy, a kiedyśmy nazajutrz odjeżdżali z Tarnawy, po raz pierwszy nim zadzwoniono nam na drogę. Wyspowiadało się tu kobiet i dziewcząt 650, mężczyzn i chłopców 500; nauk powiedzieliśmy 14.

Ślemień, druga parafia w tymże dekanacie i w tejże dyecezyi. Tak się zwykle urządzamy w krakowskiej dyecezyi, żeby teraz, skoro drugim zawrotem idziemy, brać te same parafie, gdzieśmy poprzednio pracowali. I dobrze nam z tem: zna się lud, proboszcza, stosunki miejscowe — to wiele pracę ułatwia. Czasem proboszczowie proszą do siebie, to znowu Ks. Biskup nalega, to wypadnie wyjątek zrobić. W Ślemieniu dawali poprzednio misyę OO. Redemptorzyści, na teraz prosił nas do siebie tutejszy proboszcz ks. Franciszek Krupa. Wybraliśmy się też do niego wprost z Tarnawy w sobotę przed niedzielą Bożej Męki 8. kwietnia. Na „Gorzkich żalach“ zaczęła się misya. Ludu w kościele dosyć skąpo; tłómaczyliśmy sobie ich nieobecność daleką drogą i fatalnym czasem. Nazajutrz lepiej dopisali i wogóle dosyć wiernie misyi pilnowali. Ale to już gruba różnica między Tarnawą a Ślemieniem. Lud do kościoła niby dosyć skory, ale przy tem wszystkiem jakiś sztywny, twardy a nawet zuchwały. Za zarobkiem światami chodzą; niektórzy całemi latami siedzą w Ostrawie i Prusach, a bywają wypadki, że giną bez śladu.

Parafia według schematyzmu liczy przeszło 6.000 dusz, z tych wiele w świecie; a może nie brak i takich, którzy się do spowiedzi nie jawią. Na tej renowacyi mieliśmy: kobiet i dziewcząt 1300, mężczyzn i młodzieńców 1200. Ko-

biety i dziewczęta miały przez 3 dni po dwie nauki dziennie, a męska serya przez 2 dni, bo i tak wielu chodziło na nauki dla kobiet głoszone. Sąsiedzi pospieszyli i tu z pomocą: Koszarowa, Mucharz, Lachowice, Rychwałd, Gilowice tak, żeśmy o 1 dzień mogli wszystko skrócić. W sobotę przed niedzielą palmową wszystko się skończyło. Ks. Ks. Odrobina i Kandora odjechali na Suchą do Krakowa; ja zaś z ks. Szymborem otrzymałem polecenie, by wpaść do Żywca pocieszyć Siostry i chorych wyspowiadać. Takeśmy też zrobili. Księża w Żywcu obarczeni pracą w parafii przeszło 20.000, przy najlepszych chęciach szpitalowi udzielić się nie mogą, a chorzy pragnęli z Bogiem się przed świętami pojednać. Powiedzieliśmy im dwie nauki — i wyspowiadaliśmy wszystkich. Nazajutrz 16. kwietnia w niedzielę palmową około południa wybraliśmy się przez Dziedzice do Krakowa.

Krzeszów, to jeszcze jedna parafia z tego suskiego rachunku, a dobrze nam znana, bo się jakoś głęboko po tamtej misyi zapisała w sercach. Zjechało nas trzech tylko, ponieważ ks. Odrobina został tym razem w Krakowie, by przewodniczyć rekolekcyom Sióstr na Kleparzu. Przybyliśmy w sobotę przed niedzielą przewodnią, i zaraz po południu tego dnia zaczęła się praca. Dziewięć upłynęło zaledwie lat, jakeśmy tu ostatni raz pracowali, a tyle zmian zaszło, że trudno Krzeszów poznać. Wtenczas musieliśmy się ściskać z ludem w starym, spróchniałym kościółku, szczupłym, że nawet jednego stanu parafian nie mógł pomieścić, teraz, zajeżdżając do plebanii, widzimy kościół wspaniały, murowany, ze smukłą wieżą — a nawet i zegar na niej! Proboszczem był tu poprzednio ś. p. ks. Sikora, gorliwa, zacna dusza, który niedługo po naszym odjeździe zmarł wskutek nieszczęśliwego upadku. Nastał po nieboszczyku drugi gorliwy pasterz ks. Bochenek, dzisiaj chluba dyecezyi krakowskiej. Szczęśliwy Krzeszów, że Bóg tak o nim pamięta i kapłanów według serca Bożego, jednego po drugim tu zesyła. Obecny proboszcz, to dusza i dla Boga i dla ludzi, jak to powiadają. W kościele niestrudzony pracownik, a przytem zawołany

praktyk; na plebanii swobodny, miły, uprzejmy, jakby do naszego Zgromadzenia należał. Widocznie już tak Pan Jezus sam zrządził, żebyśmy zjechali do Krzeszowa, jakby na wytchnienie po postnych i zapustnych przeprawach. Tylko otrzymał z Konsystorza wiadomość, że będzie w Krzeszowie misya, pisze: „Skoro doszła wiadomość, że Ks. Ks. Dobrodzieje przybędą do nowego kościoła z misyą, ludek drgnął z radości. Toż i ja z całego serca już teraz witam przezacnych oraczów serc ludzkich i proszę Boga i Patronkę nowego kościoła Matkę Boską Nieustającej Pomocy, by te św. ćwiczenia odbyły się po Bożemu: Bogu na chwałę, duszom na zbawienie. Skoro tu przybędziecie, to już wiosna ogarnie świat cały! wszystko się zbudzi do życia nowego. Oby i po misyi zajaśniało w parafii Krzeszów — nowe życie. Boć i tu dyabeł wiele zniszczenia w duszach sprawia". Nauki mówiliśmy w Krzeszowie o tematach przeważnie lżejszych, potocznych — a nie takie piorunujące, gromkie, do którycheśmy się poprzednio zapędzili — a potem trzeba było ton zmieniać. Nie było zresztą o co tak dalece zaczepić, bo lud i tak poczciwy, Bogu całą duszą oddany, tamtę misyę szczegółowo pamiętają, a proboszcz jak serafin gorliwy czuwa, pilnuje, by kąkolu nie dopuścić. Kościół też wspaniały wystawili Panu Jezusowi — obszerny, pakowny, a przytem estetyczny. Przedtem (w starym kościółku), jeden stan przyszedł, to już jaka połowa musiała zostać za ścianą, pod „oblamkami", a teraz zbierali się po dwa stany na raz, i jeszcze było przestrono. Wogóle praca szła tu bardzo przyjemnie i gładko. Do spowiedzi naszło kobiet i dziewcząt 1400, mężczyzn i chłopców 1350; aleć co starsze to wszystko na tamtej misyi spowiadało się z całego życia; chyba tylko z podrostków nieco się trafiło z generalną spowiedzią. Było nas na to stałych spowiedników z proboszczem 4, a z okolicy dochodzili, dojeżdżali, kto tylko mógł; boć i proboszcz, lubo sam obarczony parafią około 5000 dusz liczącą, gdzie u sąsiadów robota, chętnie z pomocą spieszy; to też kiedy sam jest w biedzie,

ratują go dzielnie. Wyspowiadaliśmy ogółem około 2800 dusz, a w Ślemieniu liczącym z górą 6000 dusz, stawiło się ledwie 2500.

Według pierwotnego planu mieliśmy tu zabawić do 7. maja włącznie, ale widząc, że na serye kobiet całemi masami przychodzili i mężczyźni, kiedy ich serya przyszła, obcięliśmy 1 dzień; spowiedników przyurgowało się większą liczbę tak, że już na majowem nabożeństwie 5. maja w piątek prawie wszyscy się wyspowiadali. Po południu tego dnia zaprowadziło się kanonicznie Drogę krzyżową w nowym kościele; nazajutrz rano poświęciliśmy krzyż nowy, odprawiliśmy solenne nabożeństwo za zmarłych z procesyą na cmentarz grzebalny, gdzieśmy się też na grobie ś. p. ks. Sikory pomodlili z parafianami, za spokój duszy tego gorliwego kapłana a potem zaczęliśmy o powrocie do swoich myśleć, bo nadchodziły dwa święta: w niedzielę 7. maja u nas przeniesienie Relikwii św. Wincentego, a na drugi dzień 8. maja, uroczystość św. Stanisława.

Wadowice Górne, powiat mielecki, dyecezya tarnowska. Po ukończeniu prac w krakowskiej dyecezyi przerwaliśmy na razie misyjne ekskursye na kilka tygodni; zupełnego jednak spokoju nie dano nam i teraz. Najprzewielebniejszy ks. biskup Wałęga zapowiedział w maju wizytę dekanatu tymbarskiego, gdzie się roi od naszych przyjaciół — proboszczów, oddanych nam całem sercem. Jeden z nich ks. Dr. Mrugacz, usilnie nas prosił, by mu w tym czasie pomódz. Wybraliśmy się tam obydwaj z ks. Szymborem 13. maja; powróciliśmy 16. tego miesiąca nocą. Przez trzy dni spowiadaliśmy, co tylko było pod ręką, a prawie wszyscy jeszcze z wielkanocnemi kartkami. Powiedzieliśmy po jednej nauce: ks. Szymbor w Niedźwiedziu, ja w sąsiedniej Mszanie. Zaraz 18. maja wyjechaliśmy z N. ks. biskupem Nowakiem na wizytę kanoniczną i zabawiliśmy aż do 30. tegoż miesiąca. Przyczem, prócz innych czynności, wypadło kilka razy przemawiać: ja po polsku, ks. Szymbor po dwakroć w niemieckim języku. Konsekracye odbyły się dwie: w Białej u zakonnic Miłości bożej i w Dankowicach — kościół parafialny.

Dnia 3. czerwca zebrała się znowu nasza trójka misyjna i ruszyliśmy do Wadowic górnych. Wyspowiadaliśmy tam kobiet i dziewcząt 1500, mężczyzn i chłopaków 1300, w czem najwięcej nam pomógł rodak tutejszy ks. Jachimowski, ekspozyt z Milna ad Załośce (archid. lwowskiej), który ze zjazdu kolegów wracając, zabawił kilka dni u swoich. Jużto nie brali się i Wadowiacy z taką jak poprzednio skwapliwością do misyi, to też starczyło czasu, żeby i do sąsiadów tak zacnych a nam życzliwych w Zgórsku i w Książnicach zajrzeć.

Porąbka-Spytków. Na razie jeszcze jedna misyjka czekała — i to w tarnowskiej dyecezyi, w dekanacie Brzeskim, Porąbka-Spytków. Pierwszą misyę mieliśmy tu przez tydzień w r. 1897; samiśmy wtenczas całą parafię wyspowiadali; teraz na renowacyę trzy dni wystarczyło zupełnie zwłaszcza, że i sąsiedzi pomagali. Lud równie jak w Wadowicach ciężki, jeżeli nie cięższy, nieruchawy, ale w gruncie bardzo poczciwy. Przeszłym razem nie było wiele o tej Porębie pisać, tem mniej obecnie, kiedy po drugi raz w tej samej parafii, za tego samego proboszcza wypadło nam pracować. Wyspowiadało się ogółem 1100 osób. Mieliśmy jeszcze jeden dzień nadłożyć i zostać tu na Boże Ciało; że się jednak zadeszczyło, już we środę 21. czerwca odjechaliśmy do swoich. Trwała ta renowacya od 17. do 21. czerwca.

Brzeszcze. Jesień poświęciliśmy znowu pracom w dyecezyi krakowskiej. Tu misye uregulowano o tyle, że się bierze jeden dekanat za drugim w tym samym porządku, jak szły poprzednio. Obecnie przyszła kolej na dekanat oświęcimski, liczący kościołów parafialnych i filialnych aż 18, a dusz zaledwie coś 50.000. Prócz Oświęcimia i Kęt, przeważnie same małe parafie. Wyznaczono nam na teraz cztery parafie t. j. Brzeszcze, Włosienicę, Piotrowice i Polankę; na później jeszcze czekają dla nas zachowane: Poręba Wielka, Głębowice, Kęty i Osiek, Oświęcim obrobili już w r. 1906. OO. Redemptoryści; w Bielanach i Grojcu byliśmy na wiosnę 1906; resztę drobnych parafii tego dekanatu obrobili OO. Jezuici

późną jesienią 1905 r.; Czaniec musi czekać aż nowy kościół wybudują, bo stary zamknięty.

W Brzeszczach stanęliśmy w sobotę dnia 4. listopada w południe, by pod wieczór zacząć pracę. Była to filia do Oświęcimia, dopiero w r. 1904 instytuował się na tę parafię pierwszy proboszcz, ks. Julian Migdałek, dobrze nam znany z Rabki, gdzie był wikaryuszem, tudzież z misyi, na których niejednokrotnie z nami pracował. Niedługo przed misyą tak o Brzeszczanach pisze: „Cieszę się mocno, że kochani Ks. Ks. Dobrodzieje na początku mego w Brzeszczach pasterzowania przybędziecie oskrobać moich parafian z naleciałości, które się zaplątały w ich dusze w ciągu 8 lat po pierwszej misyi. W sam raz posyła was tu Pan Bóg, bo z powodu budującej się tu kopalni węgla kilku nowych apostołów zawitało do Brzeszcz.“ Lud tutejszy, podobno jakaś starodawna osada szlachecka, materyalnie stał dosyć dobrze, a co do moralnej strony, odznaczał się głęboką wiarą i przywiązaniem do kościoła katolickiego. Pracowali tu zacni kapłani, jak ks. Puchała, ks. Satke i inni. Z otwarciem nowej kopalni znaczny posiew złego się pojawił między Brzeszczanami, lud ostygł w pobożności, młodzież zaczęła zbytkować i broić. Żeby łatwiej robotnicy mogli wziąć udział w misyi, wzięliśmy ich stan naprzód; było mężczyzn i młodzieńców około 300. Skoro tylko który się wyspowiadał, patrzał, żeby czemprędzej Komunię św. otrzymać i już się więcej nie zjawił — żadnego porządku nie dało się utrzymać, ani też generalnej Komunii nie było z kim odbyć. Kościół obszerny, śmiało jakie dwa tysiące ludzi może pomieścić — a tu ich przyszło 300. O wiele liczniej i wierniej schodziły się kobiety i dziewczęta. Dziatki małe bardzo nas zastanawiały, że doskonale umieją katechizm. Na tej seryi było 500 osób. Dla każdej seryi wyznaczyliśmy po dwa dni z okładem; dziennie miewaliśmy po trzy nauki — i jedną ekshortę rano. Już w piątek 9. listopada mogliśmy urządzić generalną Komunię kobiet, poczem odbyła się konkluzya tej renowacyi. Sami nie wieleśmy się tu nad spowiedziami umęczyli, a jeszcze nam sąsiedzi po-

magali. W piątek po południu odwiedziliśmy ks. Satkego w Jawiszowicach, a w sobotę rano wybraliśmy się w dalszą podróż.

Włosienica. Jest to druga filia do parafii Oświęcim. Kiedyś przed laty był tu kościół parafialny, do którego Oświęcim należał; z biegiem czasu odwróciły się stosunki. Obecny kościół murowany, obszerny stanął dopiero w r. 1844, strukturą wiele przypomina kościół w Brzeszczach, bo też z niego do Brzeszcz model brano. Utrzymany bardzo starannie, żeby i po większych miastach mógł za wzór służyć. Posadzka cała wyłożona w desenie płytkami a sprawiona przez parafian, zachęconych przez obecnego ekspozyta ks. Józefa Grudzińskiego. Nieco rychlej sprawili parafianie wielki ołtarz z patronem parafii św. Michałem a dostarczyła go firma Stuflessera w Tyrolu; feretronów mają całe lasy — i to nie jakieś bohomazy, ale rzeźby wcale poprawne. Tylko wejść do tutejszego kościoła, to każdego uderzy ofiarność tutejszego ludu na dobre cele, na ozdobę domu Bożego — niewyczerpana. O swoim kościele pamiętając, nie zapominają też o obcych: na sąsiedni w Oświęcimiu zakład Ks. Ks. Salezyanów podobno niejeden grosz stąd popłynął. Dowiedzieli się, że i my w Tarnowie budujemy dom Boży, też jakąś sumkę uzbierali i posłali. Do takiego ludu się brać, to prawdziwa rozkosz. Przybyliśmy z Brzeszcz w samo południe w sobotę 11. listopada i tegoż dnia pod wieczór zaczęliśmy pracę. Wszystkich misyi na ten wyjazd czekało cztery, tośmy po każdej małą przerwę sobie zastrzegli, by nieco wytchnąć a nie pędzić wprost od jednej pracy do drugiej.

Zeszedł nam tu znowu niespełna tydzień a nawet nie wiedzieliśmy kiedy, tak przyjemnie szła tu praca. Do słuchania spowiedzi na obydwóch seryach nadciągało ks. ks. sąsiadów dostatecznie i wszystko skończyliśmy na czas. Przybyliśmy tu na sam św. Marcin, który tradycyjnie „siwego konia pilnuje“. Po drodze już śnieg z deszczem prószył a w czasie pracy kilka razy powtórzyły się znaczniejsze zadymki. To chyba tylko nieco pracę utrudniało, bo i ludziom

trudniej przychodzić po błotnistych drogach a nas reumatyzmy, chrypy i inne przypadłości zaczęły się czepiać, co humor psuło i koncept do kazań i do spowiedzi odbierało. Lud jednak wiernie i licznie chodził na obydwóch seryach a słowo Boże brał sobie do serca. Wypadło n. p. dla mężczyzn rozdawanie Komunii św. przyczem, według starego zwyczaju, jest przemowa. Kiedy Misyonarz wezwał zebranych, żeby się przeprosili, wychodzi z kolatorskiej ławki od wielkiego ołtarza jakiś jegomość i chodząc po kościele, podaje chłopom rękę do zgody. Spodobało się to chłopkom i sami też zapłakani zaczęli się między sobą przepraszać.

Niema co! prześlicznie we Włosienicy poszło, z czego Bogu niech będzie chwała, duszom pożytek a nam jaka taka zasługa. Kobiet i dziewcząt wyspowiadało się 750, gospodarzy i chłopców 550, nauk i ekshort powiedzieliśmy tu okrągłe 20.

Piotrowice. Znowu w sobotę 18. listopada przeprawiliśmy się na nową pracę do Piotrowic. Po dosyć obfitych śnieżnych i deszczowych opadach, rozpuściło nagle, stąd i ta przeprawa nie osobliwsza. Aleśmy przecie do Piotrowic zajechali. Stary kościół drewniany spalił się tu w roku 1876; obecny murowany skończyli przed kilku laty i konsekrował go w czasie wizyty kanonicznej w r. 1897. J. Eminencya Ks. Kardynał Puzyna. Na zewnątrz dosyć gustownie się przedstawia. Rozkład misyi zachowaliśmy ten sam co i w poprzednich dwóch parafiach, dziennie miewaliśmy po trzy nauki i ekshortę przy rannych pacierzach. Ogółem nauk powiedzieliśmy tu 20; wyspowiadało się przy pomocy sąsiadów kobiet i dziewcząt 550, gospodarzy i chłopców 400.

Polanka Wielka. Pomoc w słuchaniu spowiedzi na wszystkich trzech misyach tak wiernie i dostatecznie nadchodziła, że zwykle przed końcem seryi penitentów brakło. To też, gdy już i gardła zaczęły nam chrypnąć, bo tu w okolicy pełno stawów a stąd wilgoć straszna, i zima już się zaczęła dawać we znaki, rada w radę stanęło na tem, że do Polanki zaraz po skończeniu pracy w Piotrowicach zjedziemy —

i wszystkie stany weźmiemy na jedno. Wybraliśmy się tam już w piątek 24. listopada i zaraz po południu zaczęła się praca. Kościółek mały drewniany w dole, a plebania nowa, wspaniała na górze, jakie pół kilometra jedno od drugiego odległe. — Te przeprawy z plebanii do kościoła i na odwrót były najprzykrzejsze z całej misyi. Przed nami pracowali tu OO. Jezuici, po nich OO. Dominikanie, a za każdym razem prędzej penitentów jak spowiedników brakło. Proboszcz przezacny człowiek, sąsiadów wspiera chętnie, to też jak u niego żniwo, ciągną, jak na kalwaryjski odpust.

We dworze kolator zacny, prawy katolik, szlachcic starodawnej miary, jak rzadko dziś, JWPan Józef Odrowąż Wysocki; małżonka jego również bogobojna matrona, świecą przykładem parafii i całej okolicy. O pijaństwie, warcholstwie, gazeciarstwie, zbytkach, tu ani wspominać — złoty lud! Proboszcz myśli jeszcze o nowym kościele i o ochronce. Spowiedź zaczęliśmy już w sobotę od południa a skończyliśmy w poniedziałek, i jeszcze się wytchnęło nieco. Ogółem przystąpiło do Sakramentów św. 1200 osób, nauk powiedzieliśmy 15. We wtorek 28. listopada rano odbyła się generalna Komunia św. i zakończenie całej tej pracy, a po południu powrót do Krakowa. Gazety rozniosły świeżą wiadomość, że socyaliści właśnie na dzień 28. listopada zapowiedzieli ogólny strejk. Kolator odstawił nas swymi końmi do Przeciszowa. Polanczanie wystąpili z banderyą na nasze pożegnanie. Przejechaliśmy z taką świtą miasteczko Przeciszów, dojeżdżamy do dworca. Naczelnik stacyi, nasłuchawszy się wieści o zamierzonych strejkach i zaburzeniach, a widząc tyle chłopstwa z chorągiewkami na koniach, myślał, że to powstańcy i schował się ze strachu do piwnicy. Oficyałowi ledwie że się udało uspokoić swojego chef'a i wyprowadzić ze skrytki. Ani przypuszczał biedak, że strach takie ma wielkie oczy. Wsiadłszy na pociąg, przybyliśmy szczęśliwie do Krakowa.

Ks. Józef Sokołowicz,
n. k. Zgrom. Mis.

Dwa listy Konfratrów z Kurytyby do Najprzew. O. Generała.

I.

Sprawozdanie z seminaryum w Kurytybie.

Kurytyba, 12. stycznia 1906. r.

Dnia 27. stycznia 1906. r. upłynęło 10 lat od chwili, kiedy Ks. Ks. Misyonarze zawitali po raz pierwszy do Kurytyby. Przybyłych tam 3-ch księży: Benjamina Fréchet, superyora, Wilhelma Vollet i Desyderego Deschand, zainstalował tam ówczesny wizytator brazylijskiej prowincyi, ks. Sipolis. Wprawdzie dyecezya Kurytyby istniała już od 4 lat, utworzona 1892. r. bullą: *Ad universas orbis Ecclesias,* ale pierwszy jej pasterz, Mgr Józef de Camargo Barros, objął jej rządy dopiero w r. 1894., ponieważ długo czekał na sakrę biskupią. Gorliwy ten sługa Boży natychmiast zajął się z niesłychanym zapałem fundacyą seminaryum. W tym celu zwrócił się z prośbą do wizytatora prowincyi portugalskiej i tak długo kołatał, dopóki mu nie przyobiecano 3 księży.

Dnia 25. stycznia 1896. r., w uroczystość Nawrócenia św. Pawła, wyjechaliśmy z Rio de Janeiro w towarzystwie zmarłego już teraz ks. Sipolis i po 38-godzinnej morskiej podróży zawinęliśmy do Paranaguy, głównego portu w stanie Parana.

Port ten dosyć ożywiony, miasto natomiast smutne robi wrażenie. W odległości 50 km. wznosi się wspaniała Serra do mar, łańcuch gór, poza którym rozciąga się olbrzymi płaskowyż. Na nim rozsiadła się Kurytyba, stolica stanu. Wspaniała kolej żelazna, łącząca port z Kurytybą, łagodny klimat i materyalna pomyślność stanu pomimo słabego zaludnienia przyczyniają się niemało do podniesienia uroku stolicy.

Droga z Paranagua do Kurytyby jest jedną z najpiękniejszych, jakie można przebyć. Podróżni zachwycali się pięknością krajobrazów, zmieniających się z biegiem pociągu, który wspinał się zwolna po przez przepaście i urwiska do wysokości 1000 metrów; zdawało się, że przejeżdżamy przez cudne okolice szwajcarskie. Minął ostatni, długi tunel, a poza nim wszystko się zmieniło: klimat, flora i cały Boży świat. Zamiast tropikalnych roślin uderza tu oko olbrzymia araukarya, rozrzucona gęsto i bezładnie po olbrzymich pastwiskach, opodal znowu widnieją krzewy herwy mate. Te ostatnie razem z araukaryą stanowią na razie jedyne źródło bogactwa krajowego, bo to jest jedyny przedmiot eksploatacyi tego skądinąd zamożnego kraju.

Stanęliśmy wreszcie w stolicy Kurytybie. Ze względu na rozległość obszaru możnaby jej przypisać do 50.000 mieszkańców, ale w Ameryce nie brak ziemi, dlatego też zostawia się miastom zupełną swobodę wzrostu. Gdyśmy przed 10-ciu laty przyjechali po raz pierwszy do Kurytyby, liczyło miasto 20.000 mieszkańców, dzisiaj podniosła się ich liczba o 10.000.

Ulice od 10 — 20 metrów szerokie, dość regularnie rozłożone, ale domy mają w przeważnej liczbie wygląd chat lub szałasów. Nie brak jednak wielkich domów handlowych i imponujących budynków, a wzmagający się dobrobyt jest nieomylnym prognostykiem przyszłego rozwoju stolicy. Przynajmniej jedna trzecia część ludności rekrutuje się z różnych narodowości europejskich.

Gdyśmy obejmowali nasze stanowisko, nie znaleźliśmy w wynajętym dla seminaryum domu ani łóżka ani krzesła, trzeba więc było tymczasem zamieszkać w hotelu. Biskup przyjął nas bardzo życzliwie, ale złożył na nasze barki ciężar urządzenia zakładu i zaopatrzenia go w przybory naukowe, aby nauka mogła się jak najprędzej rozpocząć. Oficyalnie otwarto seminaryum w uroczystość św. Józefa i oddano też pod jego opiekę. Niebawem zgłosiło się do nas z pierwszych rodzin mieszczańskich 30 chłopców dość inte-

ligentnych, a chociaż to była młodzież nieokiełznana, poddali się przecież wszyscy karności i dotąd ich mile wspominamy. Z tem wszystkiem nie myśleli wcale o kapłaństwie. W Paranie nie powinnoby mimo wszystkiego, braknąć powołań ze względu na liczne kolonie polskie i włoskie i nie zepsutych Brazylian, zamieszkujących środkową część stanu. Jeżeli się dzieje przeciwnie, to pochodzi to z ubóstwa mieszkańców.

Rozpoczęliśmy starania o fundusz. Przychylny biskupowi Kongres stanu mimo rozdziału Kościoła od państwa zezwolił na otwarcie kilku loteryi na korzyść seminaryum. Zrazu nadzieje były różowe, bo dochód miał wynosić milion franków, ale rozczarowanie było wielkie, bośmy otrzymali zaledwie 45 contos [1]), a rząd odjął koncesyonowanej spółce dla różnych malwersacyi przywilej dalszego urządzania loteryi. Nam została znowu tylko nadzieja lepszej przyszłości, ale trzeba przyznać, że od r. 1894. wszyscy prezydenci Parany okazywali nam wielką życzliwość, żyjąc w najlepszej harmonii z władzą dyecezyalną. Tej przychylności zawdzięczamy zwolnienie nas od podatku i udzielenie kilku naszym zakładom naukowym prawa publiczności.

Z końcem pierwszego roku odwołano ks. Fréchet do Rio de Janeiro, a w miejsce jego zamianowano superyorem ks. Vollet.

W r. 1897. ks. biskup, ufny w Opatrzność Bożą, poświęcił kamień węgielny pod nowe seminaryum i otworzył w tym celu składki w całym stanie, starając się, ażeby rozpoczęty budynek był obszerny, okazały i służył wielu pokoleniom. Zbudowane według planu naszego konfratra, ks. Clavelin, nowe seminaryum jest istotnie pierwszym monumentalnym gmachem w Kurytybie. Do nowego domu przenieśliśmy się 23. czerwca 1901. r., a nazajutrz urządził ks. biskup uroczyste poświęcenie, w którem wzięli udział prezydent stanu, przedstawiciele wszystkich władz i liczny tłum ludu. Od tej chwili zaczął się nasz zakład rozwijać racyonalnie,

---

[1]) 1 contos = 1000 milreisów, 1 milreis = 1·40 kor.

bez pośpiechu, ale systematycznie. Umilkli też teraz sekciarze, którzy przeciw nam przez kilka lat prowadzili podziemną walkę, widząc zwiększającą się liczbę powołań.

W r. 1900. opuścił nasz dom ks. Vollet, powołany na ważniejsze stanowisko superyora w Petropolis, a mnie polecono zająć jego miejsce.

W pierwszych latach nie mogliśmy się oddać wyłącznej pracy w seminaryum, gdyż obok kilku szkół poruczono nam kierownictwo różnych stowarzyszeń pobożnych i miłosiernych. Nie dziwiliśmy się całkiem temu wobec zupełnego braku duchowieństwa w olbrzymiej, nowej dyecezyi Kurytyby, na którą składają się 2 stany: Parana i Sta Catharina z 800.000 dusz. Gorzej było w stanie Parana, bo na ogromnych jego obszarach było zaledwie 40 księży przeważnie obcokrajowców. W samej Kurytybie było tylko 2 księży, a stowarzyszenia dostały się w ręce masonów.

Zaprowadzane wszędzie przez gorliwego ks. biskupa dzieło Apostolstwa modlitwy rozgrzało zastygłe serca, do czego się też wiele przyczyniły wzrastające ciągle w liczbę Konferencye św. Wincentego i stowarzyszenia Pań Miłosierdzia. Zwolna zaczęli się w dyecezyi osiedlać O. O. Franciszkanie, Werbiści i inne zgromadzenia; zakony żeńskie poświęciły się pielęgnowaniu chorych po szpitalach lub też otwierały naukowe zakłady, gdzie opuszczona dotychczas młodzież otrzymywała chrześcijańskie wychowanie.

Żniwo przygotowywało się obfite, ale robotników w winnicy było jeszcze za mało, a nas teraz absorbowała już zupełnie praca w rozwijającem się coraz piękniej seminaryum. Nie życzył sobie jednak Pan Bóg, żeby synowie św. Wincentego dla ludu nic nie działali. W r. 1901. odwiedził po raz pierwszy nasz dom wizytator prowincyi brazylijskiej, ks. Dehaene, i widząc nasze potrzeby, posłał nam jeszcze w tym samym roku 2 konfratrów do pomocy, którzy założyli pierwszy dom misyjny w dyecezyi. Wpłynął na to w przeważnej mierze sam biskup, ks. Camargo Barros, przez ciągłe prośby

u wizytatora i O. Generała. Od tego czasu upłynęły 4 lata, a praca nasza obfite żniwuje plony.

Rok 1904. pozbawił nas naszego Najczcigodniejszego Arcypasterza, powołano go bowiem na stolicę biskupią do Sao Paolo. Następca jego również sprzyja naszemu Zgromadzeniu. Dotychczas doprowadziliśmy do święceń kapłańskich wprawdzie tylko 4 alumnów, ale spodziewamy się, że liczba ta będzie odtąd szybko wzrastała, bo obecnie mamy już wszystkie kursa teologiczne bez przerwy. Spodziewamy się, że dyecezya otrzyma wkrótce własne, narodowe duchowieństwo. Nadzieja w Bogu, że nam nie odmówi nadal błogosławieństwa, a my będziemy się starali dorównać w gorliwości zmarłym naszym współbraciom, którzy tyle dobrego zdziałali w drogiej nam Brazylii.

Dezydery Deschand,
n. k. Z. M.

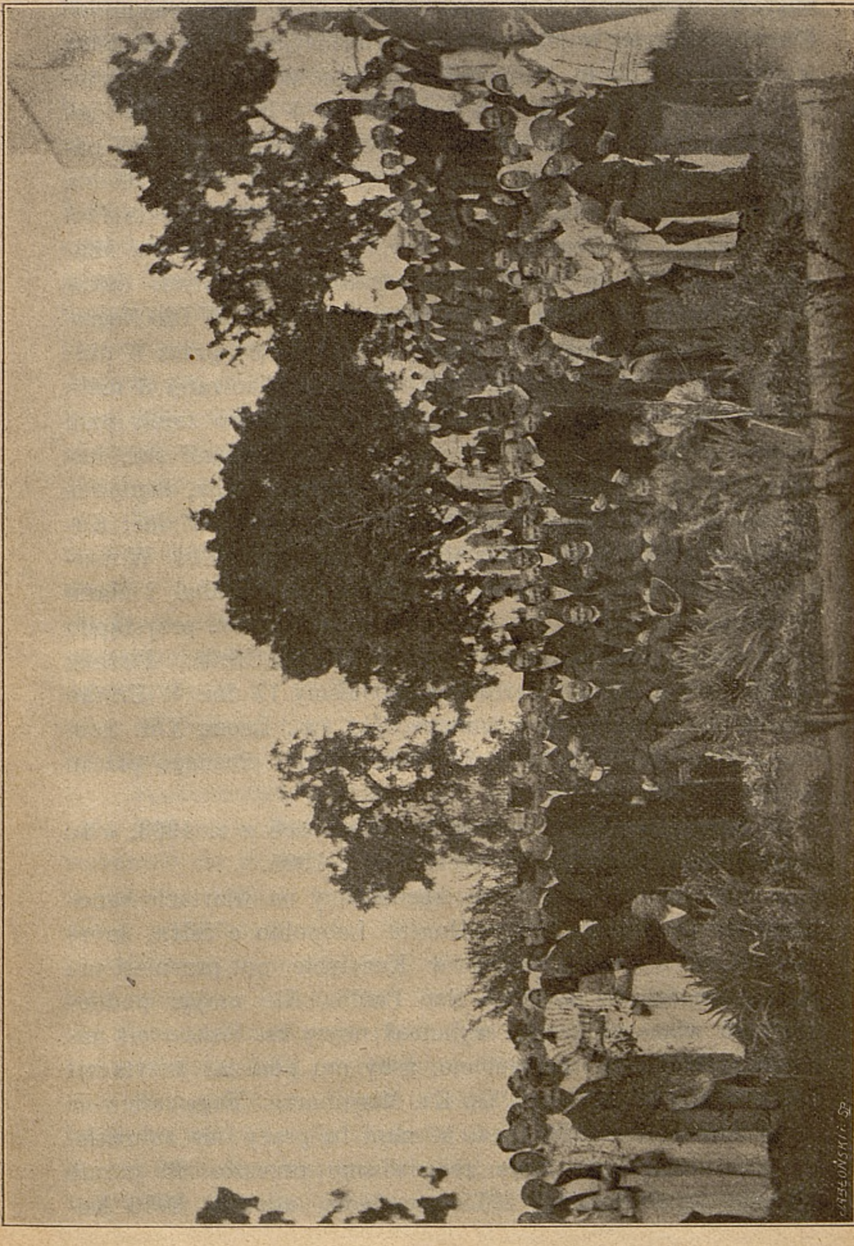
II.

Sprawozdanie z prac misyjnych, przesłane z Kurytyby przez ks. Jana Quintao Najprzewielebniejszemu O. Generałowi A. Fiat.

Kurytyba, 7. listopada 1906. r.

Przeszło 3 lata minęło już od mojego ostatniego sprawozdania, w którem skreśliłem przebieg naszych prac misyjnych w stanach Parana i Santa Catharina. Przez te lata nie szczędziliśmy znowu trudu, żeby jeszcze godniej odpowiedzieć powołaniu naszemu. Chociaż na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że skutki nie odpowiadają żywionym nadziejom, to jednak trzeba przyznać, że wysiłki nie poszły na marne, jeżeli się porówna obecny stan z tem, co było poprzednio, zwłaszcza w Paranie.

Zaraz na początku roku 1903. daliśmy 4 misye w parafiach nadmorskich, gdzie lud był tak ciemny, że nawet nie pojmował celu tych świętych ćwiczeń. Pomimo wielkich trudności w pracy zdziałaliśmy tyle z łaską Bożą, że do Komunii św. przystąpiło 1500 osób, naprawiliśmy 61 dzikich związków i założyli 3 towarzystwa Pań Miłosierdzia. Po tych



Przyjęcie J. E. Nuncyusza Tonti w Thomaz-Coelho.

misyach towarzyszyliśmy przez 4 miesiące ks. biskupowi Camargo Barros w jego podróży wizytacyjnej. Zwiedziliśmy w tym czasie około 18 parafii i kościołów filialnych, pracując w każdej miejscowości przez 3 lub 4 dni zupełnie jak na misyach, a sam ks. biskup gorliwie nam pomagał. W parafii de Lapa głosiliśmy słowo Boże nawet przez 10 dni, uprawniliśmy 6 małżeństw i założyliśmy stowarzyszenie Pań Miłosierdzia; do Komunii św. przystąpiło 536 wiernych. Miasto to osławiło się przed kilku laty dla morderstwa, dokonanego tam na proboszczu, ks. Franciszku Pinto. W Rio Negro, jednem ze znaczniejszych miast, pracowaliśmy przez 6 dni; do Komunii św. przystąpiło 482 osób, legalizowano 6 małżeństw. Miasta Palmeira, Ponta Grossa i Tastro zajęły nam 18 dni; rozdzielono w nich razem 1311 Komunii św., naprawiono 14 małżeństw. W miasteczkach Pirahy, Jaguariahywa i de Boa-Vista zatrzymaliśmy się przez 17 dni; Komunii św. rozdzielono 700, małżeństw uprawniono 14. W miasteczku Barboras i sąsiednich osadach Jaboticabal i Maria Ferreira zabawiliśmy 12 dni; do Komunii św. przystąpiło 2000 osób, małżeństw naprawiono 65. W Urinho, Platina, Mineira, Thomarina i Serrado zabawiliśmy 17 dni. W Urinho doszła nas wiadomość o śmierci Ojca św., Leona XIII. Sam ks. biskup ogłosił tę wieść z ambony wśród głośnego płaczu zebranego ludu.

Pomijam bliższe szczegóły o misyach z r. 1903. i 4., przystępując do prac apostolskich z r. 1905.

Cały niemal rok 1905. spędziliśmy na wizytach kanonicznych przy boku Mgra Duarte Leopoldo e Silva, który zasiadł na biskupiej stolicy w Kurytybie po przeniesieniu Mgra Camargo do dyecezyi Sao Paulo. Nie mając poddostatkiem własnych księży, wyjednał nowy ks. biskup od naszych przełożonych pozwolenie, żeby mu podczas wizytacyjnej podróży towarzyszyli Ks. Ks. Misyonarze. Mogę zapewnić Najprzewielebniejszego Ojca, że nam tu pracy nie zabrakło.

Od lutego do maja zwiedziliśmy przeszło 30 parafii i kaplic, wysłuchaliśmy 5975 spowiedzi, udzielili 4056 Ko-

munii św. małżeństw naprawiono 89 i przygotowano 7072 osób do sakramentu bierzmowania. Z końcem maja wzrosła liczba spowiedzi do 7722, Komunii św. do 4478, małżeństw legalizowanych było aż 135. Ukończywszy wizyty kanoniczne w Paranie, udaliśmy się do stanu Santa Catharina, gdzieśmy pracowali przez 4 miesiące, rozpoczynając od kościoła Matki Bożej na wygnaniu w stolicy Florianopolis, liczącej 12.000 mieszkańców. Ludność w Santa Catharina jest bardziej religijną niż w stanie Parana. Na ten ogólny wysoki poziom wpływają liczne kolonie niemieckie, polskie i włoskie, nad któremi pracują wzorowi księża i liczni O. O. Franciszkanie, posiadający w parafii Rodeio nawet nowicyat a w mieście Blumenau wielki dom z rezydencyą prowincyała. Podczas naszego pobytu w Blumenau było tam 20 księży, 12 studentów i około 20 braci.

Powszechnie tu rozbrzmiewa język niemiecki tak, iż w niektórych szkołach tylko ten język się wykłada, a posługują się nim nawet Brazylianie. Mimo to patrzy się tu z niechęcią na zakonników niemieckich dla tak nazwanego „niemieckiego niebezpieczeństwa“. Trzeba jednak uznać niezmordowaną pracę O. O. Franciszkanów w stanie Santa Catharina; najpiękniej rozwinęły się te parafie, które pod ich zarząd oddano.

Proboszczem w stolicy jest świecki ksiądz Topp, a parafia jego może być wzorem dla innych. Praktyki religijne wykonuje się tu śmiało, bez względu na opinię, a pierwsze w mieście rodziny celują pobożnością. Apostolstwo, modlitwy i konferencye św. Wincentego są w pełnym rozkwicie.

Wizytacya na wyspie St. Catharina pochłonęła nam półtora miesiąca. Zwiedziliśmy tam 6 parafii z kilku należącemi do nich kaplicami; wyspowiadało się 2186 osób, Komunii św. udzielono 1301, uprawniono 97 małżeństw.

Z początkiem lipca przewodniczył ks. biskup rekolekcyom, na które się zjechało około 30 proboszczów.

Udział ks. biskupa w świętych ćwiczeniach zbudował wszystkich w nadzwyczajny sposób, ponieważ wiedziano, że

już w listopadzie zeszłego roku odprawił rekolekcye w Kurytybie z księżmi z Parany.

Korzystając z wolnego czasu podczas tych rekolekcyi, urządziłem maleńką misyę dla 40 miejscowych więźniów.

W ostatni dzień odwiedził tych biedaków sam ks. biskup w towarzystwie kilku proboszczów oraz przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych. Odprawiwszy Mszę św. w prowizorycznej kaplicy, przemówił ks. biskup do więźniów w tak wzruszających słowach, że wszystkich do łez pobudził. Na pamiątkę tej chwili i moje prośby zwolnił prezydent jednego z więźniów z reszty kary i puścił na wolność, wieczorem zaś tego dnia wręczył mi ks. biskup 300 franków do rozdzielenia między tych nieszczęśliwych.

W dalszym ciągu odbyliśmy jeszcze 30 wizyt kanonicznych, podróżując wodą lub też konno. Nie wchodząc bliżej w szczegóły tych ostatnich prac, podam tylko ich rezultat podług *Bulletin ecclesiastique* z listopada 1905. r.

„Dziewiętnastego listopada, pisze ten organ, wrócił do Kurytyby ks. biskup po skończeniu wizyt kanonicznych. Podczas 9 miesięcy przebył 2146 km. drogi, nie licząc w to 48-godzinnej podróży morzem.

„Parafii i kaplic zwiedził 103.

„Sakramentu bierzmowania udzielił	34,965	osobom
„Spowiedzi świętej wysłuchano .	29.357	„
„Komuni świętej udzielono . .	20.388	„
„Małżeństw uprawniono . . .	644	„
„Chrztów świętych udzielono . .	1.150	„

„Podczas tych prac wspierali Monsignora O. Daniel Lepich, Franciszkanin, Ks. Ks. Misyonarze: Alves i Quintao i sekretarz biskupi, ks. Macagnon“.

Joao Borges Quintao.

Monografia seminaryum włocławskiego.

W ostatnich czasach historyografia nasza tyle już wydała specyalnych studyów, tyle zdobyła nowych wyników przez szczegółowe badania i sumienne monografie, że zaczyna się nowy okres prac syntetycznych, dążących do uchwycenia i uwypuklenia w wielkich obrazach tego, co w naszych dziejach było decydującem, co było najgłębszą, istotną ich treścią. Trzeba przyznać, że materyału do syntezy dostarczyły przedewszystkiem badania z zakresu historyi politycznej, podczas gdy bardzo wiele jeszcze potrzeba studyów specyalnych, zanim będzie można nakreślić obraz dziejów naszej oświaty. A jednak i tutaj przejawia się już tendencya do stworzenia większych całości, jak świadczy n. p. historya „Jezuitów w Polsce“ ks. Załęskiego, dająca szerszy, chociaż nieraz gubiący się w drobiazgach pogląd na działalność Towarzystwa Jezusowego, specyalnie na pracę w szkolnictwie. Historya Jezuitów w Polsce jest przedewszystkiem historyą ich kolegiów; tak było zresztą wszędzie, bo Jezuici otoczyli olbrzymim łukiem kraje protestanckie od Renu pod Wisłę, wysuwając naprzód swe kolegia jakby przednie czaty; łańcuch ten ścieśniał się coraz bardziej tak, iż reformacyi brakowało w XVII. w. już gruntu pod nogami, gdy nagle w całą sprawę wmieszały się polityczne interesa Francyi i Szwecyi [1]. Jak Jezuici mieli przez kolegia ratować przed nawałą protestancką katolicką młodzież, tak Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy miało przez misye budzić w ludzie uśpionego ducha religijnego i przygotować wzorowych pasterzy przez kształcenie kleru w seminaryach dyecezyalnych. Kanon XVIII. drugiej kongregacyi generalnej (1565. r.) zabrania Jezuitom przyj-

[1]) Fr. Paulsen: „Geschichte des gelehrten Unterrichts“, tom I. str. 282.

mowania seminaryów [1]): *Seminaria episcopalia gubernanda ne admittantur,* chyba, gdy fundacya będzie „pewna", „znaczna", a „zarząd w całości powierzony zakonowi". Wprawdzie w Polsce Jezuici objęli dyrekcyę 5-ciu seminaryów, ale i te z biegiem czasu przechodziły pod nasz zarząd. Gdybyśmy więc posiadali monografie poszczególnych seminaryów, moglibyśmy na ich wyłącznie niemal podstawie skreślić całość naszych dziejów w Polsce.

Daleko nam jeszcze do tego ideału, bo pod naszym zarządem było w Polsce 19 seminaryów, a posiadamy dotąd monografię tylko jednego — w Włocławku [2]). Cenny ten „szkic historyczny" zawdzięczamy zasłużonemu na polu szczegółowych badań ks. Stanisławowi Chodyńskiemu, który swoje studyum oparł na pierwszorzędnym materyale: na aktach kapituły i pamiętnikach, spisanych przez prefektów seminaryum. Celem niniejszej notatki będzie nie tyle krytyka monografii, ile raczej zestawienie głównych jej rezultatów.

W r. 1676. przesłał Papież Inocenty XI. biskupom polskim przez opata Szczukę polecenie, żeby organizowali nowe seminarya dyecezyalne i oddawali je pod zarząd Ks. Ks. Misyonarzy. Już 11 seminaryów polskich znajdowało się w rękach naszego Zgromadzenia, gdy w r. 1719. ks. biskup Konstanty Felicyan Szaniawski poprosił ówczesnego wizytatora, ks. Antoniego Fabri, o przyjęcie dyrekcyi seminaryum włocławskiego, które zaledwie jeszcze wegetowało. Należało czemprędzej ratować tę instytucyę, bo to przecież pierwsze chronologicznie seminaryum w Polsce, dzieło posiwiałego w walce z różnowiercami, wielkiego Stanisława Karnkowskiego.

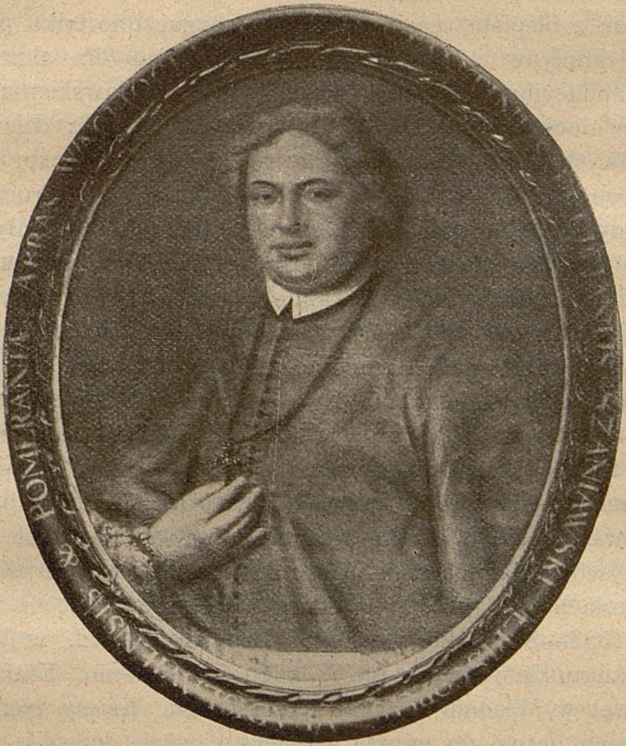
Objęcie seminaryum przez Ks. Ks. Misyonarzy stanowiło punkt zwrotny w jego historyi tak, jak kasata Zgromadzenia będzie dlań znowu nowym etapem. Mniejszą wagę posiadają dla nas szczegóły z przed roku 1719., żadnej nie-

---

[1]) Ks. Załęski: „Jezuici w Polsce", tom IV., 1, str. 6.

[2]) „Seminaryum włocławskie — szkic historyczny — spisał ks. St. Chodyński", Włocławek 1905. r.

mal wartości nie przedstawiają dla historyi Zgromadzenia koleje seminaryum po roku 1864.; dlatego też sprawozdanie uwzględni specyalnie tylko drugi, środkowy okres; ale dla pełności obrazu trzeba wysunąć naprzód pewne wiadomości z okresu pierwszego.



Konstanty Felicyan Szaniawski, Biskup Kujawski i Pomorski r. 1707—1720.

Przed soborem Trydenckim kształcili się kandydaci do stanu duchownego w szkołach katedralnych, gdzie obok nauk świeckich wykładano także teologię; ale przygotowanie to było oczywiście jednostronne, a jeszcze więcej dorywcze, niesystematyczne. To też gorliwy biskup kujawsko-pomorski, ks. Karnkowski, z zapałem pierwszy w Polsce wprowadza

w życie uchwałę soboru Trydenckiego o seminaryach duchownych zwłaszcza, że Pomorze szeroko zalewała fala protestantyzmu. Że dzieło to było jednak zaimprowizowane raczej, a nie obmyślane dokładnie, świadczy akt erekcyjny z 16. sierpnia 1569. r., gdzie nie podano żadnego planu naukowego, nie określono wcale organizacyi, wszystko miało się układać z biegiem czasu. Na razie wyznaczono tylko przedmioty studyów i zabezpieczono utrzymanie dla alumnów. Akt fundacyjny zapewniał seminaryum włocławskiemu całkowity dochód z biskupich wsi Witowa i Zbląga; dziesięcin snopowych miały dostarczać Chełmce, Szosnka i Kicko, opaci z Koronowa, Oliwy i Pelplina zobowiązali się do corocznych subsydyów w kwocie 100 złp., taką samą sumę miały wypłacać łącznie klasztory w Kartuzyi, Żarnowcu i Żukowie. Z tych dochodów należało stale utrzymywać 24 alumnów, w jednej trzeciej części przeznaczonych dla Pomorza, a zatem wymagano od nich znajomości języka niemieckiego. Jeszcze za rządów fundatora były losy nowej instytucyi bardzo niepomyślne, bo dwukrotna zaraza rozproszyła mozolnie zebranych kleryków i profesorów, a opaci nie chcieli wypłacać obiecanych subsydyów. Następca Karnkowskiego, biskup Rozdrażewski, jako wielki przyjaciel Jezuitów nie dbał wiele o miejscowe seminaryum, lecz utrzymywał własnym kosztem w szkołach jezuickich dość znaczną ilość alumnów, np. w latach 1582—84 kształciło się w Brunsberdze 12, w Wilnie pod kierunkiem ks. Skargi 7, kilku w Poznaniu, Krakowie, a nawet w Wiedniu, Rzymie i Augsburgu. Księży tych wyznaczono potem do miast i miasteczek, gdzie do walki z sekciarskimi predykantami trzeba było głębszego przygotowania naukowego; w Włocławku zaś pod kierunkiem księży katedralnych wychowywali się mniej zdolni młodzieńcy dla pracy po parafiach wiejskich. Liczba miejscowych alumnów topniała coraz bardziej tak, iż wkońcu tylko poza dyecezyą, u Jezuitów zwłaszcza w Poznaniu, znacznym nakładem utrzymywano garstkę kleryków. Stądto pochodziły nieustanne żale kapituły na brak księży i pertraktacye z biskupami o reor-

ganizacyę seminaryum. Wreszcie 1619. r. wybudowano za staraniem biskupa Wołuckiego osobny gmach, gdzie umieszczono kleryków dotąd rozproszonych po różnych zakładach; ale finanse, *nervus rerum*, ciągle nie dopisywały, gdyż opaci płacili subsydya tylko pod grozą klątw kościelnych, a nawet kapituła nie dostarczała przyrzeczonych zasiłków pieniężnych, radząc biskupowi, żeby sam darował na ten cel jakąś wieś ze swojego stołu za przykładem dostojnych a hojnych poprzedników. Biskup jednak wsi nie darował, a tymczasem na horyzoncie Rzeczpospolitej zjawiła się groźna chmura, po której nastąpił „potop", zalewający cały kraj nieprzyjacielem. Nawała Szwedów za Jana Kazimierza nie ominęła i Włocławka, gdzie spłonęła większa część domów, a seminaryum popadło w ruinę; powtarzająca się zaraza zdziesiątkowała ludność kujawską i pomorską, a ciągłe kontrybucye wojenne wyczerpały wszelkie źródła dochodów. Nic też dziwnego, że jeszcze w r. 1668. pisał konsystorz włocławski do biskupa Floryana ks. Czartoryskiego, że „seminaryum nie tylko *clericis destitutum et magistro*, ale i *in structura* w niwecz się obraca i *succursu* prędkiego potrzebuje". Zdarzało się w tych latach, że na całą dyecezyę był jeden kleryk. Gorliwiej zajął się losami seminaryum biskup Bonawentura Madaliński (1681—91), który pragnął przeprowadzić gruntowną jego reformę przez powierzenie kierownictwa jakiemuś zgromadzeniu; zrazu zamierzał powołać Ks. Ks. Misyonarzy z Warszawy, potem dwukrotnie przedstawiał kapitule projekt sprowadzenia Ks. Ks. Bartoszków, ale ta odrzuciła obie propozycye, przezco reforma odwlekła się na lat 35. Pomyślniejsze czasy dla seminaryum nastały z objęciem rządów dyecezyi przez biskupa Konstantego Felicyana Szaniawskiego. Ponieważ katolicyzm był silnie zachwiany w okolicach Gdańska, sprowadził koło r. 1710. z Warszawy Ks. Ks. Misyonarzy do podmiejskiej osady św. Wojciecha (Hl. Adalbert), ażeby przez misye ludowe bronili zagrożonych pozycyi. Posterunek ten był zarazem praktyczną szkołą dla kilku kleryków, potrzebnych tam dla katechizacyi ludu, narażonego

ciągle na utratę wiary. W samym Gdańsku ratowali sprawę katolicką OO. Jezuici, którzy tam mieli już od r. 1616. olbrzymie kolegium na przedmieściu Szotlandzie. Biskup Szaniawski ofiarował im 1712. roku 20.000 złp. dla otwarcia trzech katedr teologii i wyznaczył osobny fundusz na 6 kleryków z dyecezyi kujawsko-pomorskiej. Ks. Załęski w „Historyi Jezuitów“ wspomina wprawdzie o tej fundacyi, lecz nie dodaje, że próba utrzymania osobnych alumnów dla okolic, zalanych przez protestantów znowu się nie powiodła, skoro już w r. 1719. biskup przekazuje wspomniany fundusz seminaryum włocławskiemu. Ażeby raz na zawsze uratować fundacyę Karnkowskiego od upadku, powierzył ją Szaniawski Zgromadzeniu Ks. Ks. Misyonarzy nowym aktem erekcyjnym z 31. grudnia 1719. roku. Cała administracya seminaryum przeszła w ten sposób w ręce Zgromadzenia, zobowiązanego dostarczać jednego księdza na stanowisko prefekta, 2 profesorów i jednego brata dla zarządu gospodarstwa. Wprawdzie fundusz Karnkowskiego pomnożono tylko wójtowstwem Szosnki, lecz zredukowano pierwotną liczbę alumnów z 24 do 12, reszta zaś miała się utrzymywać własnym kosztem, płacąc rocznie 200 złp. Jako wynagrodzenie za usługi otrzymywali Ks. Ks. Misyonarze wspólny stół z alumnami i po 360 złp. rocznie na ubiór, brat 240 złp. Póżniej podwyższono skromne zrazu pensye profesorów do 1000 złp., chociaż ich liczba wzrosła do 5, a nadto przyznano Zgromadzeniu dochody z parafii Witowa z obowiązkiem utrzymywania tam księdza świeckiego na posadzie wikaryusza. Wogóle doznawali Ks. Ks. Misyonarze w Włocławku wiele życzliwości zarówno ze strony biskupów jak i kapituły.

Włocławek był na początku XVIII. w. zapadłą mieściną bez jakiegokolwiek przemysłu tak, iż wszystkie wyroby trzeba było z Torunia sprowadzać; ale Witowo i Zbląg mogły obficie zaopatrywać spiżarnię seminaryum. To też Ks. Ks. Misyonarze starali się natychmiast podnieść dochody z obydwu wiosek przez osuszanie gruntów, restauracyę budynków folwarcznych i wprowadzenie różnych melioracyi; ale pracując

tak jedną ręką, musieli się drugą bronić przed sąsiednią szlachtą, która nie szanując 7. przykazania, przesuwała uporczywie granice swych posiadłości ze szkodą dóbr seminaryjnych. Jak przykre były te stosunki, świadczy notatka w pamiętniku pierwszego prefekta, ks. Siedleckiego: „Wiele wsi i folwarków na utrzymanie profesorów i 12 kleryków niema co pragnąć, dość bowiem jest pracy i kłopotu około tych dwóch (Witowa i Zbląga), a wystarczą na potrzeby. Wiele wsi kupować lub od dobrodziejów pozyskiwać, jest to wmieszać się w nieskończone spory i kłótnie z sąsiadami, ze szlachtą, w grodzie i trybunale Królestwa, a niewielu nas-tutaj“; kończy dowcipnie ks. prefekt „*non nimis multus sed bene cultus ager dabit panem in pace gustandum*“. Procesy te widocznie długo się przewlekały, pochłaniając wiele czasu, skoro raz po raz spotykamy w Włocławku osobnego księdza prokuratora do załatwiania spraw sądowych z przywykłą do pieniactwa szlachtą.

W archiwum seminaryum włocławskiego dochowały się dotąd księgi rachunkowe od r. 1720.—1866., wykazujące, że Zgromadzenie prowadziło sumiennie gospodarstwo trzypolowe, ale z biegiem czasu nie wprowadzano żadnej ulepszonej metody do uprawy roli. Jeżeli do tego jednostajnego systemu gospodarczego doda się dotkliwe straty, wynikłe z częstych pomorów na bydło, klęsk elementarnych i przemarszów wojskowych, można sobie wytłómaczyć fakt, że żyzna ziemia kujawska dawała plony stosunkowo mierne. Postępową metodę gospodarczą wprowadził dopiero w XIX. w. prefekt ks. Jan Bóbr, przezco podniósł znacznie dochody z roli, pomimo, że otrzymał dobra, zniszczone klęskami listopadowego powstania, a jeszcze poprzednio uszczuplone przez dekret kasacyjny króla pruskiego. Gdy w drugim rozbiorze Polski dostały się Kujawy a zatem i dobra seminaryjne do Prus, oświadczył uroczyście Fryderyk Wilhelm II., że dobra duchowne zostaną nietknięte, oświadczył jednak tylko na to, żeby w r. 1796. niemniej uroczyście wydać specyalny patent, ogłaszający majątek kościelny własnością królewską.

Ofiarą pruskiej wierności padły Zbląg, Chełmce i Kicko; Witowo zaś ocalało, jak twierdził ks. Dorobis, dzięki zabiegom wizytatora, ks. Jakubowskiego. Wprawdzie obiecano za dobra zabrane wypłacać rocznie skrupulatnie obliczoną kompetencyę 112 talarów, 14 groszy i $5\frac{1}{2}$ feniga (sic), ale same dziesięciny z Kicka i Chełmiec daleko więcej dawały dochodów. Nad przepaścią stanęło seminaryum włocławskie, kiedy rząd carski w roku 1864. ogłosił kasatę zakonów, do których wliczono i Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy. Zabrano nam wtenczas w Królestwie nie tylko naszą własność, ale i to, co do nas nie należało: dobra seminaryum włocławskiego. Protest biskupa, ks. Marszewskiego, tylko tyle wyjednał, że wyasygnowano dla seminaryum jako ogólną roczną zapomogę 300 rubli i 150 rubli dla każdego z pozostałych wówczas alumnów, nowo przyjęci już nic nie dostawali.

Tak mniej więcej przedstawia się historya majątku seminaryjnego w monografii ks. Chodyńskiego. Kwestyi tej Czcigodny autor poświęcił zdaje się zbyt wiele miejsca, bo na 100 niemal stronach zanotował niesłychaną ilość szczegółów, przezco dzieło traci na jednolitości, chociaż z drugiej strony stanowi dla kleru dyecezyi włocławskiej cenny skarb, w którym może odnaleźć każdy drobiazg z przeszłości seminaryum.

Ważniejsze jednak są wiadomości, odnoszące się do organizacyi zakładu i studyów.

Według aktu erekcyjnego z r. 1719. organizacya i kierunek naukowy w seminaryum należał zupełnie do biskupa, prefekt był tylko wykonawcą jego zleceń, nad tem zaś miało czuwać dwóch prowizorów: jeden, wyznaczony przez biskupa, drugi przez kapitułę. Ustrój ten zastosowany był zresztą do wskazówek, podanych przez sobór Trydencki i panował prawdopodobnie we wszystkich naszych seminaryach. Ponieważ autor monografii nie miał jeszcze pod ręką 4. tomu „Historyi Jezuitów", nie porównał więc powyższego ustroju z organizacyą seminaryów, zostających pod zarządem Tow. Jezusowego. A jednak zestawienie to między innemi tłómaczy nam do pewnego stopnia fakt, dlaczego pod dy-

rekcyą tego zakonu znajdowała się stosunkowo szczupła liczba seminaryów.

Gdy np. kardynał Hozyusz sprowadzonym przez siebie do Brunsbergi Jezuitom ofiarował w r. 1566. dyrekcyę seminaryum, zostawiając dla siebie jego zarząd, wizytator generalny, O. Sunnier, dopiero wtenczas przyjął propozycyę, kiedy ogólny kierunek oddano w ręce Zakonu. Coroczna wizytacya zakładu należała do prowincyała, któremu biskup i kapituła mogli przedstawiać swoje desiderata, ale nie mieli prawa do wprowadzania jakiejkolwiek reformy na własną rękę; jednem słowem, „pod względem duchowno-naukowej dyrekcyi w seminaryum zakon oswobodził się z pod wszelkiej ingerencyi biskupa i kapituły“ [1]). Biskupi woleli oczywiście zachować przy sobie główny zarząd; tak też było w Włocławku. Przyjmowanie i wydalanie alumnów pozostawiono prefektowi, ale w pierwszym razie pierwszeństwo mieli kandydaci, poleceni przez kapitułę, w drugim wypadku trzeba było poprzednio uwiadomić prowizorów. Chociaż tego rodzaju stosunki łatwo mogły doprowadzić do kolizyi, nie spotykamy jednak żadnych wzajemnych rekryminacyi, owszem, zawsze panowała zupełna harmonia między przedstawicielami kapituły a prefektem. Dopiero po listopadowem powstaniu odezwały się przykre rozdźwięki, skoro się obniżył dawny wzorowy duch wśród alumnów tak, iż niektórych trzeba było wydalać. Delinkwenci udawali się wtenczas do kapituły, która systematycznie rozstrzygała na ich korzyść, przezco rozluźniła się karność, a w szeregi duchowieństwa dostawały się jednostki, szerzące zgorszenie. Wtedy to energiczny ks. Bóbr, wniósłszy protest do biskupa Tomaszewskiego, uzyskał decyzyę, dozwalającą prefektowi wydalać winnych alumnów, a prowizorów należało tylko zawiadomić o dokonanym akcie.

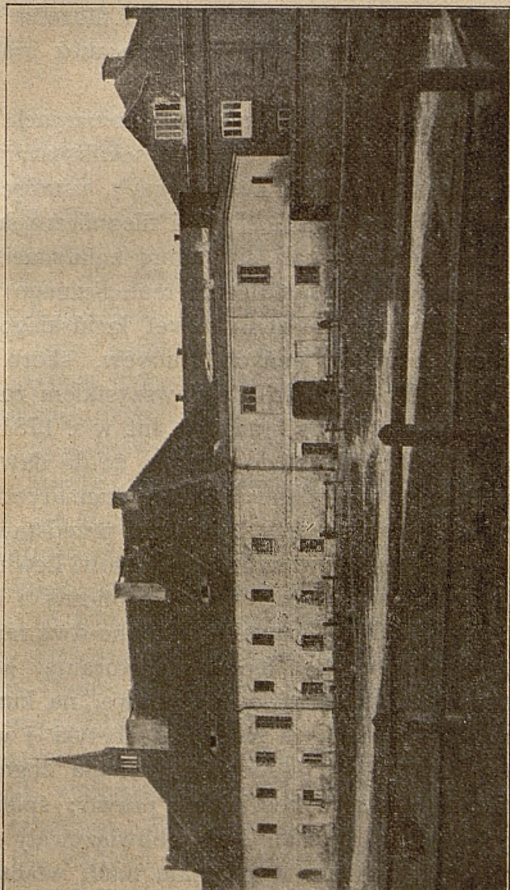
Kierunek naukowy zależał również w przeważnej mierze od woli biskupa. Śledząc plan studyów w seminaryach, trzeba mieć ustawicznie na uwadze współczesny stan oświaty i szkol-

---

[1]) Załęski: „Jezuici w Polsce“, tom IV., str. 6, przypisek.

nictwa, inaczej nie zrozumie się kierunku w nich przeważającego. Szkoda, że w studyum ks. Chodyńskiego dla braku metody porównawczej niema szerszego tła; czcigodny autor trzyma nas wyłącznie niemal w murach seminaryum włocławskiego, a rzadko wskazuje, jak było w innych zakładach naukowych, jak było przedewszystkiem w jezuickich seminaryach i kolegiach. Tło wprawdzie jest, lecz ścieśnione. Ze zdziwieniem czytamy nieraz w pamiętnikach, że święcono alumnów po jednorocznym a nawet kilkumiesięcznym pobycie w seminaryach, ale trzeba pamiętać z jednej strony o nizkim poziomie oświaty u ludu, odrabiającego wówczas w poddaństwie pańszczyznę, z drugiej strony nie należy zapominać, że szkoły współczesne dawały znakomite przygotowanie naukowe kandydatom do stanu duchownego. W latach około 1740. r. mieliśmy 112 szkół wyższych, do których uczęszczało ogółem 22.400 uczniów; przewaga kierunku klasycznego była bardzo korzystna dla przyszłych alumnów. Seminarya były zresztą szkołą praktyczną, gdzie klerycy mieli w sobie wykształcić ducha kapłańskiego i przygotować się do pracy duszpasterskiej. Biskup Konarski zalecił w swym akcie erekcyjnym naukę gramatyki, Pisma św., teologii moralnej, katechizacyi, układu kalendarza i kazań, a ogólny ten zarys planu naukowego był dyrektywą dla Zgromadzenia aż do wieku XIX.: nie uczono tylko języka łacińskiego, bo kandydaci zwykle go już znali. Wyższe wykształcenie filozoficzne i znajomość teologii dogmatycznej wynoszono zwykle ze szkół Jezuitów, którzy posiadali w Polsce obok akademii wileńskiej 34 wyższe kolegia: w 20 wykładano filozofię i retorykę, w 14 nadto teologię dogmatyczną i moralną. We Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Brunsberdze, Grodnie, Połocku, Sandomierzu miały zakłady jezuickie ten sam plan naukowy co akademia wileńska. Jeżeli po skończeniu nauk w takiem kolegium zgłosił się kandydat do stanu duchownego, wystarczały dlań obok ćwiczeń duchownych nauka śpiewu i obrzędów, uzupełnienie teologii moralnej i wprawa w pisaniu kazań.

Takich kandydatów dostarczały do Włocławka kolegia jezuickie z Torunia, Poznania, Bydgoszczy i Szotlandu.



Frontowy gmach dawny Seminaryum Włocławskiego z r. 1620, z przybudowkami 1830 i 1878 r.

Trzeba także podnieść, że plan nauk w seminaryach, zostających pod zarządem Jezuitów nie był wcale obszerniejszy, chociaż siły naukowe były tam niezawodnie liczniejsze. Według ordynacyi prowincyała Striveri z r. 1603. klerycy seminaryów duchownych mieli po skończeniu humaniorów przejść prywatnie kompedyalny kurs dyalektyki, słuchać

Pisma św., kontrowersy i teologii moralnej, sposobem kazuistycznym wykładanej[1]). Należy wkońcu dodać, że w niektórych naszych seminaryach, jak np. na Stradomiu w Krakowie był systematyczny kurs teologii dogmatycznej i filozofii[2]). Ogólnie przeważał w naszych seminaryach kierunek praktyczny, w jezuickich teoretyczny.

Zmianę w systemie nauczania po seminaryach musiała sprowadzić kasata Jezuitów w r. 1773. i sekularyzacya szkół, przeprowadzana przez Komisyę Edukacyjną[3]), usunięcie z programu studyów kursów teologicznych i filozoficznych.

Do seminaryum zgłaszali się odtąd kandydaci, którzy nie tylko nie posiadali wykształcenia teologicznego i filozoficznego, ale częstokroć nie znali nawet łacińskiego języka, niezbędnego nawet do wstępnych studyów, skoro w nim wykłady głoszono. Trzeba było przedewszystkiem rozszerzyć dotychczasowy dwuletni kurs studyów. Już w r. 1781. donosi z Włocławka biskup Rybiński do Rzymu, że do dawniej wykładanych przedmiotów dodano teologię dogmatyczną i historyę. Nowy, rozłożony na trzy lata plan, przedstawił wizytator Zgromadzenia biskupowi sufr. ks. Feliksowi Lewińskiemu. Studya obejmowały jednoroczny kurs filozoficzny i dwuletni teologiczny. Na kursie filozoficznym wykładano dwa razy dziennie filozofię, nadto retorykę, teologię pastoralną, geografię, historyę powszechną, katechetykę i wymowę, na kursie teologicznym uczono w dalszym ciągu katechetyki i wymowy, a jako nowe przedmioty występowały teologia dogmatyczna dwa razy dziennie, historya kościelna i prawo; śpiew, ceremonie i hermeneutyka Pisma św. obowiązywały obydwa kursa. W r. 1819. musiano w program nauk włączyć język łaciński, w r. 1829. niemiecki. O podniesienie studyów starał się w ostatnich czasach najwięcej znowu ks. Bóbr: on to podał projekt nowego planu naukowego, rozłożonego na cztery lata. W pierwszym kursie filozoficznym miano wykła-

[1]) Ks. Załęski: Op. cit., tom IV., 1, str. 9.
[2]) Encyklopedya kośc., tom 25., str. 50.
[3]) Bieliński: Uniwersytet wileński, tom I., str. 218.

dać filozofię, fizykę, geografię, historyę powszechną i polską. Trzechletni kurs teologiczny miał obejmować naukę Pisma św., teologię dogmatyczną, moralną i pastoralną, prawo kanoniczne i krajowe, wreszcie historyę kościelną i wymowę. Wprawdzie planu tego w całości nie przyjęto, ale odtąd studya trwały już cztery lata.

Lekcye rozkładano w ten sposób, że po każdym wykładzie następowała godzina przygotowania: system oczywiście błędny, bo stawia się wszystkie przedmioty na jednej linii i wyklucza jakąkolwiek specyalizacyę.

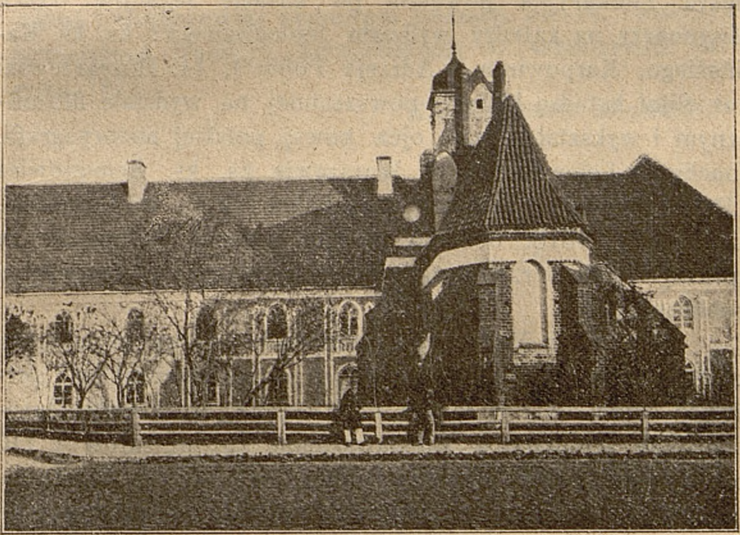
Obok metody rozstrzygają o rezultatach nauki dobre podręczniki i siły nauczycielskie. Kiedy Zgromadzenie nasze obejmowało pierwsze seminarya, trzeba się było na razie zadowolnić tymi środkami naukowymi, jakie znaleziono na miejscu. Dzieła pomocnicze były za obszerne, niestosowne tak, iż alumni uczyli się z wykładów profesora. Z biegiem dopiero czasu ujawnia się coraz bardziej tendencya do zastąpienia tradycyjnie przekazanych podręczników własnymi, liczącymi się więcej z praktycznymi celami. Już w r. 1767. polecił wizytator, ks. Śliwicki, wprowadzić do seminaryum włocławskiego dzieło Colleta p. t. *Institutiones theologicae*. Polecenie to wydano prawdopodobnie wcześniej dla wszystkich seminaryów, za czem przemawia chociażby wydanie dzieł Colleta w Chełmnie 1765. r. W każdym razie były te pisma już we wszystkich seminaryach w użyciu, kiedy wizytator, ks. Siemieński, w r. 1775. stanowczo po raz drugi kazał ten podręcznik wprowadzić do Włocławka. Jednak i to dzieło było za obszerne i dlatego zasłużony wizytator litewskiej prowincyi, ks. Andrzej Pohl, opracował je w kompendyalnej formie i wydał najpierw w Wilnie część dogmatyczną 1808. r., a w roku następnym część moralną. Ks. Pohl dostarczył nadto podręcznika do egzegezy, wydając w Wilnie od roku 1810.—12. pięciotomowe dzieło p. n. *Scriptura sacra per quaestiones exposita*, napisane na podstawie *Martini Brictii* „*Quaestiones Exegeticae*“ *(Brunsbergae 1727. r.)* „*Rubricae Breviarii et Missalis Romani*“ *(Vilnae 1821.)* ks. Pohla słu-

żyły do nauki ceremonii. Pod koniec usunięto także dawny podręcznik do hermeneutyki Janssensa, zastępując go dziełem uczonego Misyonarza, ks. Putiatyckiego p. t. „*Enchiridion Hermeneuticae sacrae*“ (*Vars. 1859 r.*); zamiast dzieła Giftschütza używano do teologii moralnej pod koniec manuskryptu Misyonarza, ks. Pawlickiego. Największe trudności do zwalczenia miał profesor historyi kościelnej dla braku odpowiedniego podręcznika, bo dzieło pijara ks. Szymona Bielskiego p. n. „Historya Kościoła powszechnego“ było nawet powodem do przykrego zajścia z biskupem Koźmianem podczas jednego z egzaminów, a bezradny profesor zamiast historyi kościelnej wykładał alumnom życiorysy słynniejszych osobistości na podstawie wypisów z „Dykcyonarza historycznego“ Boelckego. Oczywiście, że taki wykład był reprodukcyą szczegółów zaledwie chronologicznie związanych. Lepsze nastały czasy, odkąd sprowadzono do historyi kościelnej dzieła węgierskiego pijara, ks. Albera, które od razu się tak spodobały, że profesorowie wszystkich seminaryów wysłali do autora zbiorowy adres dziękczynny i zakupili po jednym egzemplarzu dla każdego domu.

Szczególniejszą uwagę zwracano na katechetykę i homiletykę. Wizytator, ks. Siemieński, polecił dla kazań przyjąć jako teoryę wskazówki metodyczne, zawarte w przetłómaczonem właśnie dziele ks. Alméras, p. t.: „Najlepszy sposób kazań“. Ilekroć Misyonarze wyjeżdżali na misye, zabierali ze sobą alumnów a często nawet księży świeckich, żeby się praktycznie uczyli katechizacyi ludu. Zasłużoną sławę posiadają dotychczas 2 katechizmy ks. Putiatyckiego: treściwy „Mały katechizm“ (1835 r. i następne liczne wydania) i obszerniejszy „Katechizm parafialny“ (1852. r.).

Podobnie jak we wszystkich naszych seminaryach przywiązywano i w Włocławku wielką wagę do nauki śpiewu gregoryańskiego zwłaszcza, odkąd wyszło z druku dobre, jak na owe czasy, *Cantionale Ecclesiasticum*. Do roku 1822. przygotowywali sobie kancyonały sami alumni i organiści parafialni, dobierając odnośne ustępy z rytuału i graduałów.

Nuty żłobiono zapomocą bukszpanowego rylca na liniach, nakreślonych czerwonym lub czarnym tuszem. Dopiero ks. Paweł Rzymski, późniejszy wizytator Zgromadzenia, ułożył wspomniane już *Cantionale* (Vars. 1822.), a Beneke ulał *ad hoc* czcionki zamiast dotychczasowych drewnianych. Dziełem tem, uzupełnionem później przez prof. ks. Waberskiego, posługuje się jeszcze dotąd polskie duchowieństwo.



Pawilon Seminaryum Włocławskiego r. 1843 wystawiony. Widok z ulicy Brzeskiej.

Już ogólny ten pogląd na metodę kształcenia i historyę podręczników wykazuje mimo różnych niedostatków ciągły postęp, ciągłe usiłowania, ażeby coraz lepiej spełniać niesłychanie ważny obowiązek wychowania kleru dyecezyalnego w duchu Bożym i odpowiednio do potrzeb kraju. Jeżeli dawni nasi Konfratrzy jeszcze więcej nie zdziałali w tym kierunku, to dlatego, że nie posiadali lepszych środków, że wogóle w Polsce przez cały wiek XVIII. było już bardzo smutno. Atmosfera duchowa panowała w seminaryach za-

wsze ta sama: wszędzie jako ideał kapłana przyświecał św. Wincenty, wszędzie stawiano jego cnoty jako wzór do naśladowania — w tym względzie nie zachodziła nigdy żadna zmiana, bo zajść nie mogła; stosowano się jednak do potrzeb społeczeństwa, rozszerzano plan naukowy, kształcono profesorów. Pod koniec XVIII. i na początku XIX. w. miało nasze Zgromadzenie kilku wybitnych uczonych. To też Komisya Edukacyjna powołała po kasacie Jezuitów trzech Misyonarzy na katedry wydziału teologicznego: ks. ks. Kalińskiego, Karpowicza i Adrzeja Pohla [1]), ks. Hussarzewski zaś objął katedrę historyi powszechnej na wydziale filozoficznym i wykształcił nam ojca nowej polskiej historyografii, Joachima Lelewela [2]). W Warszawie ks. ks. Symonowicz i Paweł Rzymski wykładali przez jeden rok na uniwersytecie, kiedy w r. 1818. otwarto w nim wydział teologiczny za sprawą Komisyi rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego [3]).

Również w Włocławku pracowało według świadectwa ks. Chodyńskiego wiele znakomitych sił nauczycielskich i gorliwych kapłanów. W latach 1720.—1864. dostarczyło Zgromadzenie seminaryum włocławskiemu 19 prefektów i 110 profesorów; wśród pierwszych odznaczyli się ks. Siedlecki, organizator seminaryum, powołany później na superyora do domu stradomskiego w Krakowie i wymieniony już kilkakrotnie ks. Jan Bóbr. Z wybitniejszych profesorów wspomnieć należy ks. ks.: Bojanowskiego, Pawlickiego, Dorobisa, Putiatyckiego, Popławskiego i i.

Gdy ukaz carski z 8. listopada 1864. r. ogłosił kasatę klasztorów w Królestwie Polskiem, rozproszyli się także po większej części Ks. Ks. Misyonarze. W Włocławku ks. ks. Jeska i Kaczergis obrali pracę parafialną, ks. ks. Płoszczyń-

---

[1]) Bieliński op. cit., t. III., str. 211.

[2]) Bieliński, tom III., str. 202.

[3]) „Wydział teologiczny warszawskiego uniwersytetu“ J. Bielińskiego w kwartalniku teologicznym, 1906. r., str. 43.

ski, Pawlicki i Grąbczewski zostali nadal przy seminaryum, wykładając w trójkę przez cały rok szkolny 1865/6. Widocznie ks. biskup Marszewski był zadowolony z dotychczasowego kierunku w seminaryum, skoro 15. lipca 1865. r. przedstawił Komisyi rządowej spraw wewnętrznych ks. Płoszczyńskiego na regensa, ks. Pawlickiego i ks. Grąbczewskiego na profesorów, dodając im do pomocy z kleru świeckiego dwu braci ks. ks. Chodyńskich Zenona i Stanisława [1]). Ks. Ks. Pawlicki i Grąbczewski niebawem pomarli, ale ks. Płoszczyński przeciągnął tradycyę Zgromadzenia w seminaryum aż do roku 1873.

Ks. Konstanty Michalski.

[1]) Ks. St. Chodyński, obecny dziekan kapituły, regens sem. i autor powyższej monografii.

KRONIKA.

Chiny. — Czwarty synod prowincyonalny w Pekinie. — Od 5. do 17. maja 1906. r. odbył się w Pekinie czwarty synod prowincyonalny dla Chin północnych, pod przewodnictwem ks. biskupa Jarlin z Pekinu. Miał się pierwotnie odprawić już w r. 1900., ale odłożono go z powodu zamieszek wojny z Bokserami. Prócz wspomnianego wikaryusza apostolskiego z Pekinu, brali udział w synodzie z naszych ks. biskup Geurts i ś. p. ks. bisk. Bruguière; z kongregacyi z Scheutveld: ks. ks. biskupi Abels, Aertselaer i Bermyn; nadto ks. bisk. Choulet z seminaryum Misyi Zagranicznych w Paryżu, ks. bisk. Menicatti z seminaryum Misyi Zagranicznych w Medyolanie, oraz ks. bisk. Maquet T. J.

Głównym, a nieomal jedynym przedmiotem obrad była kwestya nauczania. Wobec obudzonego przez rząd ruchu uczenia się języków i umiejętności europejskich, oraz przyswajania sobie cywilizacyi zachodniej, zastanawiali się ks. ks. biskupi nad tem, jakby się dostosować do tego nowego kierunku i wykorzystać go.

Syrya. — Kollegium Ks. Ks. Misyonarzy w Anturze. — Ks. sup. Saliège pisze w liście z dnia 17. lipca 1906. r. do ks. Louwyck'a w Paryżu o dobroczynnym wpływie, który Konfratrzy wywierają na całą okolicę przez pracę w Kollegium międzynarodowem w Anturze. „Bezwątpienia, powiada, działają Konfratrzy w Tripolis lub w Brumanie bardzo dużo, ale praca ich ogranicza się do katolickich Maronitów. Dobra rzecz utrzymać ich i umocnić w dobrem. Ale my żyjemy w kraju otomańskim, w znaczniejszej części zamieszkałym

przez Muzułmanów i Schizmatyków, trzebaby i nad nimi pracować, a wiadoma rzecz, że żaden kapłan łacińskiego obrządku nie ma przystępu nie tylko do meczetów, ale nawet do cerkwi schizmatyckich. Jeden tylko pozostaje środek: w Kollegiach oddziaływać na młodzież". Tam schodzą się Grecy unici i schizmatycy, tam przychodzą Druzowie, a nawet Muzułmanie, i obok przeważającej liczby Maronitów lub wogóle katolików korzystają z naszej pracy. Patrząc na sprawiedliwość, miłość i delikatność, okazywaną uczniom bez względu na ich wyznanie lub pochodzenie, patrząc na przykładne życie swych katolickich współwychowanków, ścierając się z nimi w życiu codziennem, leczą się ze swych uprzedzeń do Kościoła katolickiego i nieraz przyjmują wiarę św. W tem należy szukać źródła przyznania praw chrześcijanom i polepszenia ich doli w Turcyi, to także może przygotować drogę do przyszłej Unii Kościołów wschodnich. To jest apostolstwo czynów.

Dlatego to zakładają różne zakony Kollegia na Wschodzie, Karmelici w Bagdadzie, Dominikanie w Mossulu, Franciszkanie w Alepo, Kapucyni w Abey, nie mówiąc o Jezuitach, którzy rozwijają swą działalność w kilku miejscowościach. Dlatego też tak pożyteczną jest nasza praca w Anturze.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków - Kleparz. Wiele smutków ale i wiele radości przyniósł nam rok 1906.; wiele smutków, bo codzień donosiły nam dzienniki o nowych zamachach na Kościół we Francyi, a tam przecież jest kolebka naszego Zgromadzenia i tam jego centrum; wieleśmy jednak przeżyli i chwil radosnych, bo P. Bóg rozszerzał dziwnie pole naszej pracy, zwaliły się ostatnie zapory, postawione przez rękę ludzką, otwarła się dla nas ziemia, użyźniona znojem naszych ojców — Królestwo Polskie. Nienawiść, posuwająca się aż do bratobójstwa, rozdzieliła tam dusze jednego narodu, wprowadzając w całe społeczeństwo wzajemną nieufność i gorszą od niej niewiarę. W tej chwili zamętu powołano nas za kordon, żeby przez

misye w imię Chrystusa ponieść między nieszczęśliwych i wzburzonych rodaków gałązkę oliwną pokoju. Konfratrzy nasi postawili już krzyże misyjne w całem Zagłębiu Dąbrowskiem, sięgnęli pracą swoją aż do Warszawy, a na rok bieżący otwierają się nowe łany pod zasiew.

Jak pięknie rozwija się nasza działalność w Ameryce Północnej, świadczą notatki z podróży Najprzew. ks. Wizytatora; w Paranie objęcie dwóch parafii w Prudentopolis i Abranches w ciągu jednego roku dowodzi, jak dalece tamtejsi Polacy potrzebują naszej pomocy.

W Galicyi otrzymaliśmy nowy posterunek w Milatynie, gdzie cudowny P. Jezus ciągle garnie do siebie tysiące pielgrzymów. Pomimo, że rozszerzył się zakres naszej działalności, zwykła praca na tem nie ucierpiała. Wprawdzie Konfratrzy z Kleparza dali z pomocą innych domów w ostatnim kwartale tylko 3 misye: w Pielgrzymowicach na Śląsku pruskim, w Głębowicach (dyec. krakowska) i w Brzeźnicy pod Mielcem, ale na to wpłynęły znaczne zmiany, jakie wtenczas zaszły w poszczególnych domach. Ponieważ zresztą w zimie trudniej niż zwykle podejmować pracę misyjną, urządza się wtedy rokrocznie w naszym kościółku rekolekcye ludowe. W listopadzie i grudniu z. r. odbyły się trzy serye: kobiet zgromadziło się 380, dziewcząt 560, mężczyzn 550. Szczególniej zbudowali nas mężczyźni swoją zadziwiającą skruchą i dlatego zaprosiliśmy na zakończenie ich seryi Najprzew. ks. biskupa Nowaka, który po Mszy św. długo do nich przemawiał ze zwykłą serdecznością w duchu Bożym i patryotycznym, na co mu odpowiedziano łzami rozrzewnienia i wdzięczności. Więcej aniżeli zwykle poświęciliśmy w tej porze pracy „Dzieciom Maryi“, bo to dzieło bardzo nam drogie jako depozyt, zlecony przez samą Matkę Najświętszą. Ćwiczeniom duchownym tych stowarzyszeń przewodniczyli Konfratrzy naszego domu w Krakowie na Kazimierzu, w szpitalu św. Łazarza, w szkole św. Stanisława, nadto w Czerwonogrodzie, Moszczanach, Przeworsku i Poznaniu; dawaliśmy także rekolekcye w Krakowie P. P. Norbertankom

i w zakładzie hr. Zamojskiej w Kuźnicach. Nie wspominamy o zwykłej pracy w naszym kościółku, który widocznie wierni pokochali, skoro liczba przyjętych w nim Komunii św. doszła w z. r. do 53.000.

W myśl naszego św. Założyciela nie zapominamy także o potrzebie wychowania biednej, opuszczonej młodzieży. Zakład im. ś. p. ks. Siemaszki utrzymuje obecnie 121 chłopców. Wśród nich jest 22 terminatorów i praktykantów różnych rzemiosł, do szkół ludowych uczęszcza 46 wychowanków, do gimnazyum 28, do szkoły realnej 4, do szkół wydziałowych 8, a na kursa szkoły handlowej 3.

Kraków-Stradom. Rok ubiegły zaraz na wstępie nader mile zaznaczył się w naszej pamięci. Największa dotychczas liczba czwartego roku kleryków naszych otrzymała w dniu Przenajśw. Rodziny, 21. stycznia, święcenia kapłańskie; przyczynili się też bardzo neopresbiterzy nasi prymicyami do uświetnienia bezpośrednio potem następującego u nas triduum odpustowego. Niebawem zaczęli się jednak rozjeżdżać na różne posterunki — niektórzy bardzo daleko, ks. Dejewski np. do Brazylii. Na Stradomiu zostało nam tylko trzech; z tych ks. Gintrowskiemu oddano obowiązki prokuratora, księża zaś Wroński i Michalski Karol kontynuują studya.

Zajęciom w kościele, podobnie jak w inne lata, nie możemy poświęcić z powodu studyów wiele czasu. Frekwencya jednak wiernych coraz większa; zwłaszcza na Mszę św. o 5. godzinie wielu uczęszcza. W czasie nieszporów i kazań kościół w niedziele i święta jest zapełniony wiernymi, podobnież w czasie nabożeństwa majowego i różańcowego w październiku. Odbywa również szkoła żeńska im. Konarskiego nabożeństwa swoje i egzorty stale w naszym kościele, przyczem także korzystają wierni. Komunii świętych rozdaliśmy ubiegłego roku do 25.000.

Poza naszym kościółkiem dorywczo tylko pomagamy w pracy duszpasterskiej, jak przy spowiedziach szkolnych, odpustowych; zwłaszcza zaś uważamy sobie za obowiązek,

spieszyć z pomocą przez kazania i słuchanie spowiedzi, w czasie rekollekcyi ludowych na Kleparzu.

Dwukrotnie także udzielali księża nasi rekollekcyi ubogim w schronisku brata Alberta przed Wielkanocą i Bożem Narodzeniem, za każdym razem po dwie serye — dla mężczyzn i kobiet; także w domu Dobroczynności i na Kazimierzu dawaliśmy w poście rekollekcye dla ubogich. Na dalsze wycieczki z pomocą duchowną wyjechali nasi księża cztery razy: dwa razy do Odporyszowa, raz do Bielan w Zielone Świątki i raz do kościółka w Babicach, który niegdyś do Stradomia należał.

Od 25. do 29. sierpnia z. r. odbyły się w domu naszym rekollekcye dla ks. ks. katechetów pod kierunkiem ks. superyora Dihma ze Sarnek; udział brało w ćwiczeniach 20 księży. Kończąc to pobieżne sprawozdanie, dodajemy, że musieliśmy się podjąć dwóch zastępstw w gimnazyach: ks. Szulc w gimnazyum św. Jacka, ks. Sowiński w gimn. V.

Tarnów. Ze sprawozdania ks. superyora Tyczkowskiego. Tarnów, miasto liczące 40.000 m., jest pod każdym względem bardzo ruchliwy. Pracy tu mamy poddostatkiem a spodziewam się, że jeszcze się powiększy, kiedy przy pomocy Bożej otworzymy nasz nowy kościół. Największa jednak praca to w poście wielkim. Najpierw praca nad wojskiem, potem szkoły, lud, inteligencya, wreszcie robotnicy. Jeden z nas a mianowicie ks. Steinsdorfer udzielał nauk rekollekcyjnych w dwóch szkołach tutejszych, potem miał rekollekcye z robotnikami browaru księcia Sanguszki, a wreszcie w szpitalu dla chorych. Nigdzie nie udało mi się spotkać z ruchem socyalnym tak dobrze zorganizowanym, jak w Tarnowie. Mamy tu przeróżne związki i stowarzyszenia, jak: „Gwiazda“, „Praca“, „Ojczyzna“, sodalicye Maryańskie dla kupców — osobne dla majstrów, osobne dla czeladników, osobne dla robotników, osobne dla inteligencyi. Stowarzyszenia te żyją pełnią życia i coraz więcej się rozszerzają, opierając się na realnej i dobrze finansowo zaopatrzonej podstawie. Wszystkie stowarzyszenia mają swoje własne

lokale, swoje biblioteki, sale dla gier i zabaw; w każdym takim lokalu odbywają się odczyty bardzo często przy nader licznem anditoryum. „Gwiazda“ ma prócz lokalu do swego użytku jeszcze sześć domów, zamieszkałych za małym czynszem przez samych robotników. Na czele wszystkich tych stowarzyszeń stoi tutejsze duchowieństwo, które świadome położenia chwili obecnej, pracuje gorliwie z zaparciem siebie samego nad rozwojem tych towarrystw, wie bowiem o tem dobrze, że rozwiązując w duchu Kościoła katolickiego kwestyę socyalną pociągnie za sobą lud i robotników. Kilka razy do roku zjeżdża do Tarnowa z poblizkiego Krakowa ojciec socyalnej demokracyi w Galicyi, Daszyński, z całym hufcem towarzyszy, ale zawsze na próżno; cała ich destrukcyjna praca kończy się na wymyślaniu na Tarnów, jako miasto klechów; jakżesz blado wyglądają wobec stowarzyszeń tarnowskich wszystkie „Przyjaźnie“ i tem podobne towarzystwa, nawet w większych miastach pozakładane. Wiele kas chorych, od których nasz robotnik jest zawsze tak zależny, w Galicyi spoczywa w rękach towarzyszy ze socyalnej demokracyi; Tarnów i tu wyjątek stanowi, cały bowiem zarząd składa się z robotników katolickich. Wszystkie tutejsze stowarzyszenia oparte są na Kościele i na wierze św. katolickiej; to też, aby tę podstawę umacniać w sercach stowarzyszonych, rok rocznie każde towarzystwo odprawia w Poście wielkim rekollekcye. Ja dawałem w kościele Ks. Ks. Filipinów rekollekcye dla majstrów i kupców, w których brało udział do 800 ludzi, na zakończenie przybył tutejszy Najprzew. ksiądz biskup Dr. Leon Wałęga i po stosownej przemowie rozdał Komunię św. Po niedzieli zaś Męki Pańskiej odprawiliśmy znów dwutygodniowe rekollekcye dla robotnic i robotników fabryk tutejszych. A jest tych fabryk sporo; są ogromne młyny parowe, tartak, sześć parowych cegielni, huta szklarska i t. d. Ponieważ robotnicy cały dzień przy pracy zajęci, więc trzeba zupełnie dla nich plan nasz zwykłych misyi zmieniać. O godz. 5-tej rano już była pierwsza nauka, potem msza św. cicha, a o godz. $6^1/_2$ wszystko stało

przy pracy w fabrykach i warsztatach; wieczorem o godz. 6-tej kończy się praca, więc znów wszystko zdąża wprost od roboty do katedry na kazanie, które zaczyna się o godzinie $6^1/_4$, poczem na zakończenie odprawiają się krótkie modlitwy wieczorne. Kiedy się tak z ambony rozejrzy po katedrze, malowniczy przedstawia się widok: tu grupa ludzi białych, to robotnicy z młynów, tu znów szarym pyłem obsypanych, to robotnicy z huty szklarskiej. Trzeba przyznać tutejszemu ludowi, że słucha słowa Bożego bardzo chętnie i z wielkiem namaszczeniem. To też miło praca odchodziła. W pierwszym tygodniu były niewiasty i dziewczęta; w pracy pomagali nam ks. Karol Michalski ze Stradomia, ks. superyor Krzyszkowski i ks. Marceli Słupiński z Odporyszowa. Na prośbę Najprzew. księdza kanonika Leśniaka, proboszcza katedry, mieliśmy dla samych sług, których jest przeszło 2000 w Tarnowie, osobne nauki po południu o godz. $2^1/_2$. Drugi tydzień poświęciliśmy dla mężczyzn i młodzieńców. Przez obydwa tygodnie wyspowiadaliśmy koło 6000. W pracy pomagali nam wszyscy księża prałaci, kanonicy, profesorowie seminaryum duchownego, katecheci i wikarzy katedralni, a nawet sam Najprzew. ksiądz Biskup, kiedy zasiadł w konfesyonale o godz. 4-tej po południu, to wychodził dopiero o godz. 10-tej wieczorem. Jak szczęśliwym czuł się lud, że mógł podczas misyi szczerze się wyspowiadać i z P. Bogiem pojednać, świadczy np. to, że gdy po wspólnej Komunii św. i po udzieleniu błogosławieństwa papieskiego schodziłem z ambony, dały się słyszeć głosy: „Księże Misyonarzu, proszę przyjąć od nas wszystkich za Waszą pracę i nauki serdeczne Bóg zapłać“. Z łzą w oku poszedłem do zakrystyi wśród cisnącego się zewsząd ludu, aby mi przynajmniej z wdzięczności rękę ucałować.

Lwów. Ze sprawozdania ks. superyora Gaworzewskiego. Prace nasze z natury swojej zamknięte są przedewszystkiem murami zakładu nad powierzoną nam młodzieżą, której liczba z początkiem każdego roku szkolnego uzupełnia się do 70. Ukradkiem tylko prawie i pod naciskiem za-

zwyczaj gorących próśb oddawaliśmy drobne przysługi duchowne i na zewnątrz zakładu w miarę naszych sił. W pierwszym rzędzie ofiarujemy pomoc Siostrom Miłosierdzia oraz towarzystwom, które działają w duchu naszego św. Założyciela — w myśl polecenia naszych reguł. Z pociechą też serca zaznaczyć możemy, że tu we Lwowie tak Towarzystwo Pań Miłosierdzia, jakoteż i P. P. Ekonomek, bardzo wydatnie rozwinęły swą działalność na korzyść ubogich. Męskie Konferencye stanęły tak wysoko organizacyą ścisłą oraz zrozumieniem ducha św. Wincentego, że mogą służyć za wzór pracy systematycznej a pełnej gorliwości oraz wylania się dla biednych współbraci.

W ubiegłym roku dawaliśmy różne rekollekcye i tak ja w czasie wielkiego postu przewodniczyłem ćwiczeniom rekollekcyjnym dla członków Towarzystwa św. Salomei (od 28. marca do 1. kwietnia). Towarzystwo to podobnie jak Panie Miłosierdzia zajmuje się i to bardzo gorliwie wdowami i sierotami, a patronem Towarzystwa jest św. Wincenty. Od 6. do 9. kwietnia głosiłem rekollekcyjne nauki dla uczniów II. gimnazyum we Lwowie w kościele OO. Karmelitów. Bezpośrednio zaś po tych rekollekcyach mówiłem jeszcze parę nauk dla uczniów uzupełniającej szkoły przemysłowej im. Staszica.

Ks. J. Zieliński powiedział rekollekcye dla terminatorów w stowarzyszeniu św. Stanisława Kostki od 19. do 24. marca z. r.; a teraz pod koniec roku zeszlego wygłosił ośm nauk rekollekcyjnych dla stow. Dzieci Maryi w Bursztynie.

Ogółem wszystkich nauk poza rekollekcyami, wliczywszy konferencye do Sióstr Miłosierdzia, nauki do różnych towarzystw i okolicznościowe różne przemowy — wygłosiliśmy w ubiegłym roku 87.

Jedynym wypadkiem nowym w monotonnej dość naszej pracy to ekskursyjna praca w mieście, w którem najstarsi nasi praojcowie pod okiem jeszcze św. Wincentego pracowali, t. j. w Warszawie. Podczas kiedy nasi Konfratrzy misyjni pracowali mozolnie na misyach w Zagłębiu Dąbrow-

skim, dawałem wraz z ks. Rossmanem jakby nieustające rekollekcye dla parafian kościoła św. Trójcy na Solcu, dokąd ks. prałat A. Jełowicki, proboszcz tego kościoła, Konfratrów na pewien czas zaprosił. W niedziele i święta odbywały się kazania misyjne, w dni zaś powszednie po prymaryi mówiło się krótką naukę, a potem tak przed południem jakoteż po południu odbywała się spowiedź, tłumy bowiem niezliczone ludu stale oblegały konfesyonały. Już przed naszem przybyciem ks. Stefan Król przygotował rekollekcyami dzieci do I. Komunii św., którą uroczyście rozdał dziatkom sam ks. arcybiskup Popiel. Praca ta jednak rekollekcyjna w kościele św. Trójcy musiała być przerwaną z powodu rozruchów, wywoływanych w łonie społeczeństwa przez partyę socyalnej demokracyi, które zagroziły zerwaniem kompletnem komunikacyi i uniemożliwiłyby wprost powrót do stałych naszych zajęć. Przed odjazdem jednak naszym, przymuszeni wprost błagalną prośbą ks. prałata Dra Zygmunta Skarżyńskiego, proboszcza kościoła N. M. Panny na Nowem Mieście, mimo, że krótki czas przedtem odbywali tam misye OO. Redemptoryści — powiedzieliśmy rekollekcye dla członków III. Zakonu św. Franciszka Serafickiego, którzy pragnęli przez te ćwiczenia duchowne pogłębić ducha pobożności, jakiego tchnął w III. zakon św. Franciszek. Przez trzy dni obszerny kościół napełniony był po brzegi, chociaż dla uniknięcia natłoku tylko za biletami doń wpuszczano. Do Komunii św. przystąpiło około 1500 osób.

Jezierzany objęły w ubiegłym roku pieczę nad wiernymi w Lisowcach, którzy już od dziesiątek lat prosili o kapłana do swego kościoła. Ks. St. Dudek, witany owacyjnie przez miejscową ludność jako stały pasterz, rozpoczął już pracę nad podniesieniem ducha pobożności wśród swoich owieczek, wprowadzając wspólną adoracyę i drogę krzyżową— urządził także czytelnię bardzo chętnie uczęszczaną. W samych Jezierzanach pracuje się w duchu św. Wincentego nawet poza obrębem parafii. Zwykłych ekskursyi do szkół i kaplic miejscowych było 609, wyjazdów na misye, rekollek-

cye i z pomocą od sąsiadów 133; Komunii św. rozdzielono w kościele parafialnym do 7000.

Rozdół. Miejscowe Siostry Miłosierdzia urządziły w listopadzie z. r. rekollekcye dla „Dzieci Maryi“, ale rekollekcye te zmieniły się w rodzaj misyi dla ludu, bo wszyscy spieszyli do kościoła, ażeby posłuchać nauk ks. superyora Buchhorna. Najwięcej ucieszyło wszystkich nawrócenie dwóch notorycznych grzeszników.

Ameryka północna. — *Derby.* Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół. List ks. Superyora Waszkiego. Dzień 23. września 1906. pozostanie na zawsze w pamięci tutejszej Polonii, bo wtedy ks. biskup hartfordzki dokonał aktu uroczystego poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy polski kościół w Derby. Długie lata czekali Polacy tej chwili i Pan Bóg wysłuchał ich prośby, uskutecznił pragnienia. Kiedy słowa te piszę, kościół polski pod wezwaniem św. Michała już stoi jako dowód pobożnych i ofiarnych serc polskich. Patrzą nań katolicy innych narodów, spoglądają innowiercy z podziwem, bo wiedzą dobrze, że go postawili nie bogacze ale ubogi lud polski, który nie tylko krwawo zarobiony grosz niósł P. Bogu w ofierze, lecz także zwalczać musiał przeszkody wielkie, jakie mu stawiała polityka ludzi przeciwnych sprawom polskim. Byli obcy nam duchem choć wiary tej samej, którym powstanie polskiego kościoła przeszkadzało w interesach własnych, byli i swoi, co w niezgodzie twierdzili że im raczej na dłoni włosy wyrosną, zanim zobaczą świątynię polską w tem miejscu. Jakoś P. Bóg inaczej pokierował, jednych i drugich zawstydził, zwycięstwo zgotował niezłomnej wytrwałości ludzi dobrej woli. Wczoraj właśnie dobiegł trzeci rok do kresu od chwili, kiedy nasze maluczkie Zgromadzenie zaczęło pracę misyonarską w Ameryce północnej. Odtąd też przypadła nam w udziale obsługa duchowna Polaków w Derby i okolicy. Osiedleni przez ks. Biskupa w New-Haven, kolejno prawie wszyscy dojeżdżaliśmy tu z nabożeństwem na niedzielę i święta. Na ten czas służba Boża odprawiała się w ajryskim kościele N. Maryi Panny w Derby. Dwa długie

lata trzeba było korzystać z tej wymuszonej, uciążliwej gościnności w ciągłej niepewności, co będzie na przyszłość. Wymuszona z ich strony, powiedzmy, była gościnność, bo i ks. biskup na razie a bardziej jeszcze ksiądz angielski nie był z łatwo zrozumiałej przyczyny za ustanowieniem nowej parafii. Już taki nasz los, że gdy wolności się domagamy, to w odpowiedzi na słuszne prośby i przedstawienia albo w zarodku niszczą szlachetne zabiegi, twierdząc, że dopominamy się o rzecz niepotrzebną i niemożliwą, albo w najlepszym razie każą nam uzbroić się w cierpliwość, wyzyskując tymczasem położenie słabszego. Polacy, widząc, że dzieło Boże trafia na trudności, czekali cierpliwie, wysyłając jednak jedną delegacyę za drugą do arcypasterza, aż go nareszcie przekonali, że przecież dzieje im się krzywda, bo mogą swoim kosztem i kościół wystawić i księdza utrzymać. Stało się to 16. lipca 1905 r. Wtedy ks. biskup zlecił ks. superyorowi Głogowskiemu urzędowe zorganizowanie nowej parafii. Ponieważ gościnność w kościele N. Maryi Panny miano opłacać kościelnymi dochodami pół na pół, ks. biskup zaś wyjechał był do Rzymu, nadarzyła się najstosowniejsza chwila, którą trzeba było wykorzystać. Wynieśli się Polacy z kościoła angielskiego i najęli na nabożeństwo dużą na 500 osób salę, umieszczoną na drugiem piętrze domu przy ulicy głównej. Sala dawniej służyła za warsztat żelaznych wyrobów; ławki zbite z desek wcale ładnie się przedstawiały również jak światło elektryczne. W tyle na lewo kurtyną oddzielone miejsce na zakrystyę, po prawej stronie ołtarz Matki Boskiej, przy którym odprawialiśmy nabożeństwo majowe i październikowe. Można było tę dużą salę w zimie ogrzewać; wzdłuż bocznych ścian umieszczono kaloryfery. Jednakże to dla początkującej parafii rzecz trochę za kosztowna, obeszło się więc bez tej wygody. Woleliśmy po starokrajowemu chwalić Pana Boga. Ks. superyor Głogowski pocił się w letnich miesiącach wśród upałów nieznośnych. Od 1. listopada 1905. marzliśmy znów tu razem z ks. sup. Koniecznym, który po ks. Głogowskim objął parafię i dzierżył rządy proboszczowskie do 1. kwietnia

1906 r., którego to dnia kierownictwo parafii przeszło w moje ręce. Cała parafia Derby razem z Shelton (mów Szeltn) i Ausonią i okolicznemi farmami liczy 1000 dusz. Lud przeważnie z pod Tarnowa i Kolbuszowej osiadł w Derby i Shelton; w Ausonii zaś i na farmach zamieszkali Królewiacy. Smutny i pożałowania godny fakt, że choć na obczyźnie rozrzuceni, jednak do jednej matki Polski się nie przyznajemy. Nie dość że podzielił nas wróg, osobno jeszcze różnicę pochodzenia ze starego kraju zaznaczamy. Rządzić chcemy, a zgody żadnej niemasz między nami. Dla objaśnienia tej charakterystycznej dysharmonii dodam, że Królewiacy, chcąc uchodzić za szlachciców między sobą nie inaczej się tytułują jak pan, pani, państwo, a nasi Galicyanie nazywają ich kacapami, kurpiami etc. Ci zaś w zamian za nadobne dają im przydomek galusów, a ostatni między sobą wedle tego, z jakiej okolicy pochodzą, w chwili rozdrażnienia obdarzają się przezwiskiem maziarzy i miotlarzy. Ponieważ w parafii przewaga jest po stronie Galicyan, kościół stanął w Derby. Królewiakom zdaje się, że są pokrzywdzeni i mimo szczupłej liczby (350 dusz) starają się o kościół w Ausonii. Daj Boże, żeby jakoś zgoda do nas zawitała. Z wypadków wzmianki godnych w życiu parafialnem zaznaczyćby wypadło o małem nieszczęściu, jakie się w zeszłym maju wydarzyło. Kościół prowizoryczny był nam się spalił. Z przylegającej kuźni ogień podłożony przeniósł się na boczną ścianę sali i od razu całą obrócił w węgiel. Na szczęście straż ogniowa zapobiegła dalszemu pożarowi. Ogień wybuchł o 12-ej w nocy, parafianie nie mogli mnie się dobudzić, bo i dzwonek się popsuł i zresztą sypialnia na trzeciem piętrze. Jakoś sobie radzili po swojemu. Wszystko wynieśli tak, że większej szkody nie było.

Dnia 30. maja 1906. odbyło się poświęcenie sztandaru Towarzystwa św. Michała. Przy każdej prawie polskiej parafii zawiązują się towarzystwa wojskowe wzajemnej pomocy na wypadek śmierci członków. Lubują się w mundurach wojskowych różnego gatunku i podobno Amerykanom tem

bardzo imponują. Dzielniejsze z tych towarzystw w niektórych miastach zastępują milicyę miejską w razie potrzeby. W Derby prócz „Towarzystwa św. Michała“ istnieją jeszcze „Rycerze Jana III.“ pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej, a w Ausonii „Ułani polscy“ pod opieką św. Stanisława Biskupa. Na uroczystość poświęcenia sztandaru św. Michała zjechało się coś 300 żołnierzy, urządzili paradę niezbędną w takich wypadkach, wysłuchali Mszy św. i mowy narodowej. Aż dwie orkiestry im przygrywały. Koniecznie się domagali, abym im towarzyszył w powozie; jakoś mi się udało uchylić od tej nibyto proboszczowskiej powinności. Zazwyczaj trzy razy do roku przystępują po parafiach tego rodzaju towarzystwa do spowiedzi i Komunii św., to im się chwali. Przy zakładaniu parafii wiele pomódz a niestety i zaszkodzić mogą, gdy duch niezgody ich się uczepi.

Dnia 23. września 1906. r. cała armia tychże żołnierskich towarzystw zjawiła się, aby dodać blasku zewnętrznej uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego. Sam ks. biskup dokonał tego aktu uroczystego o godzinie 3-ej po południu. Narodu naszego i obcego było coś 4000. Fundamenta sterczały już jakie 12 stóp w górę. Kościół murowany, w stylu gotyckim, przechodzi w renesans, ma długości 104 stopy, szerokości 54, a wieża wysoka 100 stóp. W suterenach będzie szkoła czteroklasowa; uczyć będą prawdopodobnie Siostry Nazaretanki. U góry jest miejsce na 850 siedzeń. Na razie odprawiać będziemy w bejzimencie, dopóki kościół wewnątrz nie będzie wykończony. Z Księży Misyonarzy obecny był tylko sam ks. superyor Głogowski — inni nie mogli przybyć. Wymownemi słowy przemówił ks. superyor Głogowski naszym Polakom do serca na temat zgody i jedności. Na innonarodowcach kazanie też zrobiło wrażenie, bo sobie o tem we fabryce z naszymi opowiadali. Z obcych był miejscowy proboszcz angielski, ks. Lozowski, proboszcz polski z Hartford i ks Musiał, proboszcz polski z Middletown.

Ks. biskup pochwalił ofiarność ludu polskiego i zachęcił katolików innych narodowości, aby nam w dokończeniu tego pięknego dzieła dopomogli. Przydałoby nam się czynne poparcie z ich strony, bo kościół ze wszystkiem kosztować będzie 30.000 dolarów. W Bogu nadzieję pokładamy, że jeżeli pozwolił z grubsza dokończyć świątynię na Jego cześć i chwałę i nadal nas będzie miał w Swej szczodrobliwej Opiece.

Parana. — Abranches. — Poświęcenie wieży kościelnej. Z listu ks. Kandory podajemy następujące szczegóły o uroczystości poświęcenia wieży kościelnej: „Z wielkiem pragnieniem oczekiwaliśmy tu Przewielebnego ks. Wizytatora, odkładając do jego przyjazdu wszystkie ważniejsze sprawy. Znany jest czytelnikom *Roczników* z fotografii kościół w Abranches, ale dzisiaj wygląda on już całkiem inaczej. Świątynia nasza długo nie miała wieży, a wszyscyśmy ten brak odczuwali. Wprawdzie budowano już tę wieżę przez 5 lat, ale dla braku funduszów stanęła praca, chociaż niewiele już do końca brakowało.

Przyjechawszy do Abranches, zachęciłem lud do nowych ofiar i przystąpiono na nowo do dzieła. Illuminacya i sztuczne ognie obwieściły parafianom 6. października, że wieża ukończona.

Nazajutrz przyszła do mnie deputacya, ażeby poprosić Mgra Alberto o poświęcenie wieży, ale odpowiedziałem stanowczo, że aktu tego dokona Przewielebny ks. Wizytator. Czekaliśmy więc przez 2 miesiące aż do 9. grudnia. Już w przeddzień tego święta przystrojono wieżę proporczykami o kolorach narodowych, a z górnych okien powiewały chorągwie o barwach polskich i brazylijskich. Gdyśmy wieczorem tego dnia przyjechali z Thomas-Coelho z ks. Wizytatorem, powitano go fugietami; to samo powtórzyło się pod jego oknami nazajutrz wczesnym rankiem.

Uroczystość rozpoczęła się przyjęciem pierwszych „Dzieci Maryi". Aspirantki ustawiły się przed balustradą, gdy Przewielebny ks. Wizytator wyszedł do ołtarza w asystencyi mo-

jej i ks. Mięsopusta, ażeby poświęcić medaliki. Przemówił w gorących słowach do zebranych, oświadczając swoją radość z tego, że w parafii zawiązuje się tak piękne stowarzyszenie; jak bowiem w niebie ma Pan Bóg aniołów, którzy mu bezustannie śpiewają „Święty"... tak Matka Boska dobiera sobie na ziemi grono dziewic, ażeby na Jej cześć ciągle powtarzały: „O Maryo, bez grzechu poczęta". Po dokaniu tego aktu wyszedł ks. Wizytator ze sumą, podczas której śpiewały dzieci ze szkoły Sióstr Miłosierdzia. Wreszcie rozpoczęła się właściwa uroczystość, na którą zjechali z Thomas-Coelho ks. Superyor Bayer i ks. Kołodziej, odprawiwszy tam rychlej nabożeństwo. Ruszyła z kościoła procesya, podczas której po raz pierwszy wystąpiły 2 szeregi „Dzieci Maryi" z medalami na piersiach. Na przygotowane wzniesienie wstąpił ks. Wizytator i przemówił znowu do zebranych tłumów, które ze łzą w oku słuchały słów, wzywających do zwracania wzroku w stronę wieży, ilekroć w parafii pojawi się nieprzyjaciel wiary, bo wieża jest symbolem Maryi, broniącej swych dziatek w każdej potrzebie. Gdy Przewielebny ks. Wizytator przystąpił do pokropienia hełmu wieży, odezwały się dźwięki kapeli, a z piersi polskich popłynęła do nieba rzewna pieśń: „Serdeczna Matko". Błogosławieństwo Najświętszem Sakramentem zakończyło tę uroczystość, o której nigdy nie zapomną polscy koloniści w Abranches.

Egzamin w szkole Sióstr Miłosierdzia. — O postępie dzieci w szkole, zostającej pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia, podaje *Gazeta Polska* w Brazylii z 13. grudnia 1906. r. następującą notatkę:

Abranches. Egzamin w szkole Sióstr Miłosierdzia odbył się dnia 6. b. m. Na egzaminie był obecnym W. ks. Wizytator, szanowny konsul, p. Miłkowski, wielu księży, redaktor *Gazety*, p. Witosławski, p. Preis oraz znaczna liczba matek i ojców, którzy, dbając o oświatę, przybyli przekonać się osobiście o postępie swych dzieci. To nader ważna dla rodziców chwila i dotąd za mało zwracamy na nią uwagi. Im rodziców podczas egzaminu więcej, tem dla sprawy szkoły i oświaty le-

piej. Rodzice, widząc postęp dziatwy swojej, nie poskąpią ni grosza ni ofiar, byle tylko ich dzieci do uczelni chodzić mogły i korzystać.

Pierwszy do egzaminu przystąpił oddział drugi, — dzieci 50 i parę. Odpowiedzi z religii i historyi świętej swobodne, śmiałe i wyraźne, znać że nie „na dziś“ tylko wyuczone. W zakresie geografii usłyszeliśmy po raz pierwszy zapytania dotyczące Brazylii, to bardzo pożądane rozszerzenie zakresu tego przedmiotu. Musimy znać kraj, który zamieszkujemy.

Nauka historyi Polski prowadzona jest prześlicznie i rozumnie. Dzieci bowiem nie zmuszano do uczenia się dat suchych, które prawie nic nie dają, nic nie uczą, a za to zniechęcają do nauki historyi ojczystej w samych początkach, za to dzieci umiały opowiedzieć wiele, z dziejów swych przodków. Z kim który król walki toczył, co zrobił ważnego dla kraju, czem który król się odznaczył, jakie są ważniejsze zdarzenia i za którego króla miały miejsce, — ot, to historya prawdziwa! Ale choć datami dzieci nie karmiono, wiedzą jednak doskonale, kto po kim panował i kiedy miały miejsce wielkie zdarzenia w historyi ojczystej. Czytają dzieci płynnie. Z rachunków dzieci odpowiadają dobrze; zakres jednak niewielki i koniecznie rozszerzonym w przyszłości być musi. I tu jednak łatwo dostrzedz praktyczność, nie tylko w zadaniach ale i w prowadzeniu. Szczególniej bowiem w matematyce nie wolno iść „dalej“, dopóki dzieci nie pojmą doskonale początków. Pismo dzieci wyraźne, ładne. Dyktando piszą dobrze. Deklamacye i śpiewy prześliczne — o tem już pisaliśmy parokrotnie. Oddział pierwszy, w stosownym zakresie, dawał na wszystkie zapytania wyraźne, płynne odpowiedzi.

Po krótkiej przerwie — żywy obraz. Dziewczęta w bieli i kwiatach, chłopcy w konfederatkach i szarfach narodowych; w głębi widać obraz Częstochowskiej Orędowniczki naszej; obok zaś, po stronie prawej, symbol nasz Orzeł biały. Odpowiednie deklamacye i śpiewy, ilustrują myśli i uczucia dziatwy. Obraz cały rzewny swą treścią i — mało wśród

widzów było takich, którymby łza nie cisnęła się do oczu. Po wyczerpaniu programu, przemówił pięknie i serdecznie Wizytator O. O. Misyonarzy Przew. ks. Słomiński. Z mowy Jego podkreślamy trzy momenty. Ks. Wizytator nie spodziewał się tu spotkać, tego co widział i słyszał. Jego szlachetne serce biło radością, więc głosem serca zachęcał do wytrwania i prac dalszych. Wzywał do oświaty, bez której nic dobrego zrobić nie można — i tem zadał kłam oszczercom, co głoszą, że Duchowieństwo polskie usiłuje powstrzymać oświatę! Wreszcie rzekł, iż chętnieby dziękował Siostrom za ich trudy, aleby je tem obraził, bo one pracują z poświęceniem się sprawie Boga i ludu naszego. A czy wszyscy ich pracę oceniają sprawiedliwie i należytej udzielają pomocy?

Prudentopolis. — Poświęcenie kościoła. — O uroczystości tej podała *Gazeta w Brazylii* z 3. stycznia 1907. r. następujące szczegóły:

P o ś w i ę c e n i e kościoła na Prudentopolis. Przewielebny ks. Wizytator w towarzystwie W-go ks. Kołodzieja przybył do Prudentopolis wieczorem dnia 19. grudnia, powitany — kilka kilometrów przed miastem, przez O. Superyora ks. Męsopusta i sporą gromadkę parafian, przybyłych konno i wózkami. Wieść o przybyciu O. Wizytatora, który miał dokonać aktu poświęcenia kościoła, rozbiegła się szybko po olbrzymich przestrzeniach tej wielkiej kolonii, tak że już nazajutrz, pomimo niepogody, zaczęli przybywać rodacy nasi, aby, dowiedziawszy się prawdy, przesłać ją na linie odległe o parę dni drogi.

Ale, — spojrzmy na kościół. Dla nas, co znamy lepiej niż inni cierniowe drogi, po jakich stąpać musieli rodacy nasi, aby dojść do posiadania tej budowli, dziwny ten kościołek ma urok i niepojętemi formami się wdziera do serca. Wydaje nam się, iż patrzymy na stężałą masę pracy ludzkiej, gęsto pokrytej wdowim groszem, wśród którego błyskają tysiączne krople potu, spadającego z uznojonych czół, obsypanych — jakby dla ozdoby — w brylanty zmienionych łez. Masa ta, otoczona koronką rzeźb z chwil zwątpień — wyro-

słych podczas prześladowań — z westchnień i szeptów, z cichych modłów i drżeń serca, cudowną mocą Wszechmocnego zmienioną została w przybytek pański, na który patrząc, mimowoli przychodzi nam na myśl, że gdyby tyle zgody, świadomej pracy i wytrwałości, na Ojczyzny ofiarnym ołtarzu złożył cały nasz ogół, rychłoby nam Najwyższy wolną Polskę oglądać pozwolił.

W istocie piękny to kościół. Formy jego skromne prostotą, jak myśl i pragnienia uczciwego Polaka, który ponad sprawiedliwość nic więcej nie żąda, ale pociągają mile harmonijną symetryą całości. Jedyną jego zewnętrzną ozdobą — kopuła, siedlisko dzwonka, co drobnem serduszkiem wzywa na modlitwę wiernych, rozsyłając głos po rannej rosie lub z poszumem wiatru do chat zapadłych w doliny, sterczących na wzgórzach lub tkwiących w puszczach leśnych.

Wchodzimy do wnętrza. Tu całkiem inaczej — ozdobnie, choć jeszcze wiele zostało do roboty. Przedewszystkiem ściąga na siebie uwagę sklepienie ładną łukowatą formą. Dalej śliczna, wykończona zupełnie kazalnica, rysunku W-go ks. Chylaszka, jak zresztą i cały kościół, z wyjątkiem wielkiego ołtarza, do którego plan podał p. Kazimierz Brodziak. Kazalnica ta przypomina formą ogólną słynną ambonę w kaplicy katedralnej św. Kazimierza w Wilnie, z której, głośny na całą Polskę kaznodzieja, ks. Skarga Pawęski, wygłaszał prorocze kazania wobec królów polskich i rycerstwa. Ołtarz wielki nie ukończony jeszcze, ale już z tego, co zrobiono, sądzić można o wspaniałej całości, o czem zresztą łatwo każdego przekonywa rysunek. Presbiteryum oddzielone ładnie rzeźbioną balustradą. Dwa ołtarze boczne na ukończeniu. Pośrodku dwoma rzędami ustawiono 24 ławki. Chór obszerny. Kościół cały 27 metrów długi, 14 szeroki i 8 wysoki — pomieścić więc może sporo ludu. Roboty wewnętrzne w kościele wykonał p. Keller, młody, dobry majster i Polak.

Nie potrzebujemy się tu rozwodzić, że już w wigilię Narodzin Zbawiciela zaczęły ściągać gromady na pasterkę i nabożeństwo dnia następnego.

Mszę pasterską celebrował Przewielebny ks. Wizytator w asystencyi W. W. ks. ks. Kominka z Luceny i Kołodzieja z Abranches. W kościele rozległy się po raz pierwszy radosne dźwięki kolędowych pieśni.

Na drugi dzień — cały kościół przyozdobiony. Na kopule powiewają flagi: Brazylii, Papieża i Polski. Wejście do świątyni przybrane w zieleń i chorągwie polskie. Ołtarz wielki i nawy ozdobne w olbrzymie bukiety palmowe, festony i wieńce z zieleni i kwiatów. Na chórze, nieskalanej białości Orzeł Biały — jak niewinność ludu naszego — w polu czerwonem; tak, w czerwonem, bo lud nasz serdecznej krwi nie żałował, walcząc za wiarę Chrystusa i wolność braci z Turczynem i Tatarem, Moskwą i Szwedem lub podłem Krzyżactwem. Dokoła Orła wieńce i palmy (Orła malował p. K. Brodziak). Gdy po raz drugi odezwał się głos dzwonka z wieży, kościół wypełnił się po brzegi.

Przed sumą — Przewielebny ks. Wizytator dopełnia aktu konsekracyi kościoła — pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny. Po nabożeństwie z przed ołtarza Przewielebny ks. Wizytator przemówił do parafian. To, co wygłosił przezacny kapłan do swego ludu, daremnie staralibyśmy się powtórzyć. Całe przemówienie, nacechowane myślą piękną i głęboką miłością chrześcijańską, a dlatego właśnie szczerze polskie, na zawsze w sercach słuchaczy pozostanie. Przemawiał kapłan chrześcijański i katolicki a — bezbrzeżnie miłujący swe dzieci — sieroty Ojciec. Potrzeba miłości wśród siebie, w stosunku do braci Rusinów i wszystkich innych narodowości była główną osią tego serdecznego głosu. Ale że cierpienia dzieci nie mogły być obojętne Ojcu prawemu, więc pocieszał je, krzepił i do dalszej zgody a wytrwałości zachęcał, prześlicznie nazwawszy kościół — pomnikiem ich wiary i zgody.

Po nabożeństwie wszyscy pospieszyli do plebanii, aby temu — jak mówiono — „pocieszycielowi“ podziękować za trudy podróży, za poświęcenie kościoła im pod opiekę oddanego, za słowa zachęty i pociechy — wreszcie pożegnać

Ojca, co przybył z za morza, aby utrwalić to, co oni z takim trudem w jedną spletli całość. W imieniu ludu przemówił gospodarz Makara, a Przewielebny ks. Słomiński odpowiedział z balkonu i, na pamiątkę dnia tego, rozdał wszystkim medaliki z wizerunkiem Niep. P. N. M. Panny, która odtąd roztacza opiekę nad tym kościołem, Jej imieniem uświęconym. Po Przew. ks. Wizytatorze przemawiał redaktor Gazety naszej w sprawie szkoły, którą prowadzić będą Siostry Miłosierdzia.

Po pożegnaniu wezwano do posiłku. Przy stole zasiedli katoliccy przedstawiciele wszystkich, zamieszkałych w Prudentopolis narodowości, a więc był p. M. Roth — od Niemców, p. Atanasio dos Santos i katolik — maronita. Pierwszy przemówił Przew. ks. Wizytator i jak zawsze — mówił ślicznie. Toast pierwszy wzniesiono za pomyślność Ojca św., dalej Jego Ex. ks. Biskupa i Przew. Ojca ks. Wizytatora. Z kolei zabrał głos Przew. ks. Superyor i wygłosił pełen serdecznego uczucia toast na cześć nieobecnego prezesa Komitetu kościelnego, p. Jana Lecha, — toast ten został połączony w jedno z toastem na cześć W. ks. Chylaszka, który i przykrości tam znieść musiał niemało i duże w tej pracy położył zasługi. Dalej szły toasty za pomyślność Brazylii i ludów jej ziemię zamieszkujących, oraz za zdrowie p. Prezydenta Stanu, dr. Wincentego Machado, komitetowych, gości różnych i t. d., aż Przew. ks. Wizytator staropolskim „kochajmy się“ zakończył ucztę. Nie w ciemię bity p. Makara nie dopuścił jednak do powstania, lecz korzystając z okazyi, zaproponował składkę na kościół i zebrał na poczekaniu 95 milreisów.

Przez cały czas trwania robót i uroczystości, niezmordowanej pracy składał dowody ks. Superyor, W-ny ks. Mięsopust, który już otrzymał nazwę od ludu, to „serce — człowiek“, mówiono dokoła. Piękna nazwa — ani słowa, ale wielkie ona wkłada na ogół obowiązki. Dbać muszą wszyscy, aby to serce nie zastygło, nie skrzepło zmrożone chłodem serc innych.

Księża nasi, dzielny Komitet budowy kościoła i wszyscy razem Rodacy złożyli wiele pracy — wszystkim przeto należy się uznanie i cześć!

We czwartek odjeżdżaliśmy z żalem za ludem i z weselem — od miejsca, gdzie stoi kościół — pomnik zgody, pracy świadomej celu i wytrwałości.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Franciszek Schiller, 15. października w Grazu, żył lat 34, w Zgromadzeniu 9.

Ks. Józef Jobst, 16. października w Schwarzach, żył lat 72, w Zgromadzeniu 29.

Ks. biskup Juliusz Bruguière, 19. października w Szangaju, żył lat 56, w Zgromadzeniu 34.

Ks. Dyonizy Healy, 13. października w Los Angeles, żył lat 33, w Zgromadzeniu 17.

Ks. Emanuel Catheline, w listopadzie w Chinach, żył lat 37, w Zgromadzeniu 16.

Ks. Felicyan Muzzi, w listopadzie w Chinach, żył lat 45, w Zgromadzeniu 24.

Br. Joachim Leite, 2. grudnia w Fulgueiras (Portugalia), żył lat 70, w Zgromadzeniu 39.

Ks. Jakób Che, w grudniu w Chinach, żył lat 55, w Zgromadzeniu 23.

Br. Jakób Auby, 22. grudnia w Paryżu, żył lat 92, w Zgromadzeniu 61.

Siostry Miłosierdzia:

S. Stanisława Bialik, 1. października w Domu centralnym, żyła lat 32, w Zgromadzeniu 9.

S. Kazimiera Daleszyńska, 6. października w Białymkamieniu, żyła lat 24, w Zgromadzeniu 3.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.